Nr. 272. Lwów — Wtorek dnia 26 Listopada. Rok 1907.

Wychodzi w dni powszed. o godzinie 6 po południu z datą dnia następnego. Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcznie 2 K. 20 h. [illegible]

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

Ogłoszenia i przedpłatę przyjmuje [illegible] Reklamy po kronice wiersz petit. 1 K. Rękopismów Redakcya nie zwraca. Niefrankowanych listów nie przyjmuje.

Dziś: Wt. św. Konrada | Jana Złot. Jutro: Śr. św. Konrada i Wir. | Filipa Ap. — Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. — Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI. — Wschód słońca o godz. 6 min. 53, Zachód „ „ 3 „ 29. — Długość dnia godzin 8 min. 36. Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

Hecarze.

P. Diamand, — kapitalista dla siebie, a socyalista dla swych wyborców, jegomość zażywny, zwany ironicznie „chudym robotnikiem" — pokazał na ostatniem posiedzeniu Rady państwa, jak mniej niż czwarta część pełnej izby poselskiej może udać, że jest jej większością. Było na posiedzeniu 236-ciu deputowanych, a więc brakowało do połowy 22-ch. Ten zastęp rozpadł się na dwie równe części: 117-tu oświadczyło się przeciw wnioskowi p. Diamanda, aby p. Abrahamowiczowi zrobić hecę, i tyluż z dodatkiem samego p. Diamanda, oraz jakiegoś Nemca, oznajmiło, że gorąco pożąda hecy. Tak 119 stało się „trochę" większą częścią 516-tu.

P. Diamand, uzasadniając swój wniosek, mówił o Galicyi, jako o „naszym kraju". Po prostu podawał się za wcielenie Galicyi. Używał takich wyrażeń: „Galicya jest oburzona", „Galicya nie może przyjąć tego spokojnie". W szekspirowskich dramatach tak mówią o sobie królowie: „My, Francya", „My, Anglia". Ale skądże p. Diamand może mówić o sobie: „My, Galicya!" Lecz jeżeli socyaliści z syonistami i ukraińcami dostąpili nagle zaszczytu być opinią Austryi, to ostatecznie czemużby p. Diamand nie mógł wyobrazić sobie, że jest Galicyą!

Co amatorowie hecy zarzucają p. Abrahamowiczowi? Równo dziesięć lat temu wszechniemcy, awanturnicy, dopuszczali się w Radzie państwa niesłychanych gwałtów. Rzucali kałamarzami, łamali meble, wydzierali przewodniczącemu dzwonek, twarze swe mieli dla polityków i argumenty zastępowali wygrażaniem pięściami. Splamili parlament, jak nikt i nigdzie przedtem. Nie sposób było obradować. Używszy wodze niemieckich konserwatystów hr. Falkenhayn postawił wniosek, aby gwałtowników na rozkaz przewodniczącego usuwano z izby, w razie potrzeby nawet przemocą. Wniosek przyjęto. Wskutek tego ministeryum hr. Badeniego natychmiast zorganizowało gwardye parlamentarną. Zaraz na drugi dzień trzeba ją było wezwać do Izby. Owczesny prezydent izby p. Abrahamowicz spełnił tylko swą powinność, jak nieraz spełniają ją prezydenci parlamentu francuskiego bez czyichkolwiek protestów. Ale w Austryi, niestety, zwyciężyli gwałtownicy, wrogowie monarchii. Gdyby się stało inaczej, byłaby to chwila, od której liczonoby powrót do zdrowia parlamentaryzmu austryackiego. Ale że zwyciężyli wtedy gwałtownicy, a po stronie zwycięzców zawsze stają tłumy, przeto ta chwila stała się czarną w politycznem życiu Falkenhayna, K. Badeniego i Abrahamowicza.

Wspominając tę chwilę, p. Diamand, chociaż mówił o Galicyi jako o „naszym" kraju i chociaż podawał się za jej wcielenie, jednak nie mógł nie wyrazić swojej nienawiści do niej. Wniosek Falkenhayna i wykonanie jego nazwał haniebną kartą w dziejach austryackiego parlamentaryzmu, a potem jeszcze nazwał go „galicyjską sztuczką".

Wniosek p. Diamanda, aby zrobić hecę p. Abrahamowiczowi, przyjęto taką większością, o jakiej mówiliśmy wyżej. Urządzenie hecy postawiono więc na porządek dzienny najbliższego posiedzenia. Odbędzie się ono jutro, we wtorek, równo w dziesięć lat po pamiętnej scenie z gwałtownikami wszechniemieckimi w r. 1897 ym. Tę jutrzejszą hecę nazwano więc jubileuszowym obchodem tej sceny.

Oczywiście nie pamiętanoby o tej rocznicy, gdyby nie to, że p. Abrahamowicz został ministrem. Rozumnemu politykowi, jednemu z najzdolniejszych w izbie, wytrawnemu znawcy każdej sprawy, do której się bierze, niedawnemu prezesowi Koła, a więc reprezentantowi przedstawicielstwa kraju, politykowi, którego głos ogółu wskazał na stanowisko, opuszczone przez W. Dzieduszyckiego, takiemu politykowi, który, idąc na to stanowisko, rzekł: „Minister galicyjski powinien, rzecz jasna, znać sprawy swego kraju lepiej, niż każdy inny minister, ale w ten sposób on nie pozyska wpływu na politykę rządu, zdobędzie zaś ów wpływ, jeżeli zabierze głos w każdej sprawie ogólno-państwowej, którą zna, bo wtedy dopiero koledzy się przekonają o jego znaczeniu i będą zasięgali jego rady, będą się liczyć z jego zdaniem zawsze. Tak postępował Ziemiałkowski i w tem była tajemnica jego znaczenia, jego wpływów, dobroczynnych dla kraju": — takiemu oto politykowi ludzie mali, zazdrośni, intryganci chcieliby zniechęcić, rzucają pod nogi kamienie.

Ale dzielność mężów stanu mierzy się przeciwnościami, które oni umieją pokonywać. Wierzymy tedy, że hecarze nie zwyciężą jutro. P. Abrahamowicz ma za sobą całą prawą opinię.

Powrót wychodźców.

W ślad za przesileniem pieniężnem poszło przemysłowe. Wszelkie przedsiębiorstwa w Stanach Zjednoczonych zmniejszyły swą produkcyę, niektóre zupełnie zawiesiły pracę. Tamtejsi fabrykanci i właściciele kopalń zaczęli przedewszystkiem usuwać robotników obcych, a czynili to nie z patryotyzmu, lecz z musu. Miejscowi robotnicy, obywatele amerykańscy, są zorganizowani w syndykaty, które twardo obstają przy interesach swych członków i narzucają przedsiębiorcom różne warunki. Natomiast robotnicy obcy, którzy przybywają do Ameryki z Europy na chybił-trafił, ludzie niezasobni, przyjmują każdą pracę, jaka się nadarzy, nie dyktując przemysłowcom żadnych warunków. Nietylko nie są do tego przyzwyczajeni w tych europejskich krajach, które dostarczają największych zastępów emigracyjnych, ale oprócz tego nie mogą stawiać warunków, ponieważ ustawa amerykańska orzeka, że skontraktowanych robotników sprowadzać nie wolno. Emigrant musi jechać na niepewne. Dopiero znalazłszy się na amerykańskiej ziemi, może on targować się o warunki swej pracy, ale nie może być wybrednym, bo na powrót do kraju zazwyczaj nie ma pieniędzy, a jeżeli nie ma z czego żyć, to będzie wyrzucony przymusowo. Kongres waszyngtoński wydał taką ustawę głównie dlatego, aby nieco zmniejszyć napływ emigrantów i nie mieć z nimi kłopotu, kiedy zabraknie pracy, ale takie postanowienie jest bardzo korzystne dla przedsiębiorców, bo pozwala im dawać przyjezdnym robotnikom dowolne warunki pracy. Więc też rzeczywiście tacy robotnicy otrzymują znacznie mniejszą zapłatę, niż ich towarzysze miejscowi, i mogą być oddaleni w każdej chwili. W zwykłych warunkach zawsze łatwo o zarobek i najniższa płaca jeszcze jest większą od normalnej w krajach eksportujących robotników. Lecz w chwilach przemysłowego zastoju wychodźcy odrazu są wyrzucani za bord. Tak właśnie stało się teraz. Z Nowego Yorku donoszą, że tylko z samych hut żelaznych i walcowni stali wydalono 400 tysięcy zbytecznych robotników, a prawdopodobnie drugie tyle z kopalń rudy i węgla. Nowoyorska agentura okrętowa ogłosiła, że są już wysprzedane wszystkie międzypokładowe miejsca na okrętach, które w ciągu kilku najbliższych tygodni odpłyną z Ameryki do Europy. Parowce, przychodzące teraz do portów holenderskich i niemieckich, są przepełnione robotnikami, powracającymi do kraju. Są to przeważnie Polacy i Słowacy, bo włoscy wychodźcy wracają do Genui.

Przesilenie amerykańskie rozciągnęło się także na Niemcy, lubo w stopniu dość słabym. Zawsze jednak niema dnia, w którymby jakaś wielka firma nie ogłosiła likwidacyi, albo zmniejszenia produkcyi. Są już obawy, że rozmiary przesilenia będą znacznie większe, niż przewidywano. Tu znowu ucierpią przedewszystkiem nasi wychodźcy. Już cierpią. Parę dni temu w Lipsku uwagę przechodniów poczęła zwracać gromada wynędzniałych ludzi, patrzących przed siebie z tępą rozpaczą. Zdawali się oni zupełnie nie rozumieć, gdzie są i co się dokoła nich dzieje. Tłumy stawały, zaciekawione, skąd się wzięli na czysto utrzymanych ulicach ci brudni przybysze? Dowiedzieć się było trudno, bo ci ludzie mówili nieznanym językiem. Dopiero gdy ich zabrano na policyę, udało się z paszportów dowiedzieć, że są to polscy robotnicy z pod Częstochowy, wracający pieszo z nad Renu, gdzie pracowali przy lejarniach, a utracili zajęcie wskutek redukcyi robotników. Pełni rezygnacyi, która charakteryzuje naszego chłopa, szli oni piechotą poprzek Niemiec, zdążając o chłodzie i głodzie do kraju, który opuścili przed ośmiu miesiącami z nadzieją na dobry zarobek. „Pracowaliśwa w Dąbrowie — mówili — ale kiej bez strejki szyby zawarto, nijak było po próżnicy doma siedzieć, tak my na saksy, a i tam ciasno. Ot i tylo wsyćkiego". W tak krótkiej opowieści długi łańcuch przejść dramatycznych!

Droga „na saksy" utorowała się już przed trzydziestu laty. Z początku rolnictwo niemieckie, przechodzące do intensywnego gospodarstwa, potrzebowało robotników sezonowych, a brało ich z Poznańskiego i Prus Wschodnich. Szli oni najpierw na plantacye buraków w Saksonii i dlatego powstała nazwa obieżysasi, którą później zaczęto dawać wszystkim naszym wychodźcom na roboty do Niemiec. Dopiero od roku 1890-go zaczęli także niemieccy przemysłowcy ściągać naszych robotników, jako tańszych i potulniejszych od niemieckich. Zarobek na pozór wydawał się dobry, niemal dwa razy większy od możliwego w kraju, w gruncie jednak rzeczy znacznie malał, bo przedsiębiorcy karali grzywnami za każde przekroczenie, a pod koniec sezonu z reguły wyszukiwali lada powód do oddalenia robotnika przed terminem, aby mu nie dać umówionej w kontrakcie kwoty na powrót do kraju. Któż jednak nie liczy na swe szczęście! Wychodźtwo do Niemiec liczniejszem się stało, niż do Ameryki, a podobno i korzystniejszem dla nas pod względem narodowym, bo obieżysasi wracają do kraju, czy jednak korzystniejszem także pod względem moralnym, o tem bardzo wątpią ci, którzy badają ten ruch ludowy. W sierpniowej książce „Ekonomisty" warszawskiego były o tem nader smutne wiadomości.

Niepodobna obliczyć, ile ludu polskiego udaje się co roku na zarobki w obce strony. Z cyfr, ogłaszanych przez Towarzystwa okrętowe, nie można wyciągać wniosków, ponieważ w tych wykazach wychodźcy nazywani są najczęściej, podług posiadanych paszportów, Rosyanami, Austryakami, albo Prusakami. Wielu wychodźców przekrada się przez granicę bez paszportów, zwłaszcza z Królestwa i Litwy, gdzie werbunek „na saksy" jest wzbroniony, a choć rząd wydaje bezpłatne robotnicze paszporty na 8½ miesięcy do wyjazdu na sezonowe roboty, to jednak tylko mniejszość wychodźców z nich korzysta, bo są różne utrudnienia, czynione w interesie miejscowych przemysłowców. Wedle prywatnych dochodzeń, wychodzi co roku z wszystkich ziem polskich mniej więcej 180.000 robotników w wieku od 18 do 30 tu lat; starszych wiekiem jest w tym zastępie bardzo niewielu. Zatem, w ostatniem pięcioleciu wyemigrowało 900.000.

Z tej ogólnej liczby 900 tysięcy najwięcej część trzecia wróci teraz do kraju z powodu braku roboty w Ameryce i Niemczech. Nie mają powodu wracać zatrudnieni w Szwecyi, Danii i w Lotaryngii, gdzie nasi robotnicy, można powiedzieć, zdobyli przędzalnie. Zapewne nie wrócą także z Ameryki ci wszyscy, którzy pracują nie w zakładach przemysłowych, lecz na roli.

W każdym jednak razie powrót do kraju kilkuset tysięcy ludzi zupełnie zubożałych, znękanych przejściami, zawodami, uciążliwą drogą, — powrót ich w zimie, kiedy mało robót, stanowi rzecz ważną ekonomicznie i społecznie. Właśnie dlatego zwracamy na nią uwagę. Sądzimy, że rady powiatowe ze starostwami powinny o ile można zaopiekować się tymi ludźmi — tymi, naturalnie, którzy nie mają o kogo się oprzeć, — bo chodzi o to, aby oni nie zmarnieli, lub nasiąknąwszy rozgoryczeniem, nie stali się podatnym materyałem w rękach agitatorów przewrotu.

Korespondencye.

Wiedeń, 23 listopada.

(Widoki zniżenia podatku od cukru. — Stanowisko parlamentu a rządu w tej sprawie. — Prawdopodobne zwycięztwo parlamentu).

(y). Zainicyowana przez stronnictwa parlamentarne akcya, mająca na celu zmusić rząd do obniżenia podatku od cukru, ma bardzo wielkie szanse powodzenia. Dotychczas opierał się rząd, jak wiadomo, jak najbardziej stanowczo spełnieniu tego żądania, zasłaniając się tem, że musiałoby ono zwichnąć równowagę budżetową, dziś jednak wobec niebywale świetnego stanu finansów państwowych argument ten stracił swą dawną siłę. Wprawdzie może minister skarbu wystąpi z zarzutem, iż szereg tłustych lat finansów państwowych nie będzie się ciągnął w nieskończoność i już są nieomylne oznaki pogarszania się konjunktur przemysłowych, co z natury rzeczy musi wpłynąć ujemnie na dochody państwa; — wszelako przedstawiciele parlamentu mogą na tym punkcie pobić ministra jego własną bronią i przypomnieć mu to, co powiedział dopiero przed kilkunastu dniami, objaśniając preliminarz na rok 1908, a mianowicie, że chociażby nawet konjunktury gospodarcze istotnie się pogorszyły, to efekt tego pogorszenia uwidoczniłby się w finansach państwowych dopiero w późniejszym okresie.

Ponadto szanse zniżenia podatku od cukru zwiększa ta okoliczność, iż niektóre stronnictwa zamierzają głosowanie swe za ugodą węgierską uczynić zawisłem od spełnienia tego postulatu. W rezultacie tedy — jak się zdaje rząd będzie musiał zarzucić dotychczasowe stanowisko bezwzględnego oporu i wdać się w targi z parlamentem co do ustalenia granicy, do której ma sięgać zamierzone obniżenie podatku od cukru.

Motywa, przemawiające za zniżeniem podatku konsumcyjnego od cukru w Austryi są bardzo silne. Wysokość podatku w naszej monarchii sprawia bowiem, że konsumcya cukru jest u nas w porównaniu do innych państw kulturalnych nadzwyczaj mała. I tak w Anglii wynosi przeciętna roczna konsumcya cukru 42 kilogramów na jednego mieszkańca, w Niemczech 19·73 kilo, we Francyi 16·44, a w Austryi tylko 10·85 kilo. Przytem w Anglii dzięki nadzwyczajnej taniości cukru spożywa ludność ogromne ilości innych zawierających cukier pożywnych artykułów, jak owoce kandysowane, biszkopty itp., które u nas zaliczane są do artykułów zbytkowych.

Po wejściu w życie konwencyi brukselskiej wszystkie państwa należące do tej konwencyi obniżyły bardzo znacznie podatek od cukru, tylko Austrya nie uczyniła tego. W Niemczech zniżono ten podatek na 14 marek od 100 kilo, a istnieje zamiar jeszcze dalszego obniżenia go na 10 marek, w Belgii zniżono go na 20 franków, we Francyi na 25 franków, tylko w Austryi wynosi on wciąż tyle, ile wynosił przed konwencyą brukselską, tj. 38 koron od 100 kilogramów. Tylko we Włoszech jest większy podatek, bo wynosi 70 lir od centnara metrycznego cukru pierwszej sorty a 67 lir od cukru drugiej sorty. W Rosyi wynosi podatek od cukru 1¾ rubla za pud (16·38 kil.). Nadto muszą fabryki opłacać osobny podatek od fabrykacyi wynoszący 5 rubli od 100 pudów.

Co się tyczy kwestyi, o ile ma być zniżony podatek od cukru, to przedstawiciele stronnictw parlamentarnych domagają się, ażeby to zniżenie wynosiło 16 koron na centnarze metrycznym, a więc żeby w przyszłości podatek od cukru wynosił nie 38 ale tylko 22 halerzy od kilograma. Tę propozycyę zwalcza jednak minister skarbu jak najenergiczniej, powołując się na to, że zrealizowanie jej, jednym zamachem zniszczyłoby równowagę budżetową, a w takim razie nie możnaby nawet marzyć o wprowadzeniu ogólnego ubezpieczenia robotników na starość i spełnieniu przez państwo innych zadań społecznych. Przy dzisiejszej bowiem konsumcyi cukru w Austryi, wynoszącej 3½ miliona centnarów metrycznych rocznie, obniżenie podatku o 16 koron uszczupliłoby dochody państwa o 56 milionów koron rocznie (ogólny dochód z podatku od cukru wynosi dziś 145 milionów koron). Jakkolwiek rząd nie złożył jeszcze żadnej pozytywnej deklaracyi w tej kwestyi, to jednak zdaje się, że zgodzi się może na obniżenie podatku o 6 a najwyżej o 8 koron na centnarze metrycznym. W pierwszym wypadku dochód państwa zmniejszyłby się o 21 milionów koron, w drugim o 28 milionów. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że faktyczny ubytek dochodów państwowych nie będzie tak znaczny jak oblicza minister skarbu, gdyż skutkiem potanienia cukru w handlu z powodu zniżenia podatku zwiększy się jego konsumcya.

Jeżeli przyjdzie do porozumienia między rządem a parlamentem, w takim razie obniżenie podatku od cukru weszłoby w życie z początkiem najbliższej kampanii, tj. od 1 września 1908 i w sferach parlamentarnych oczekują, że rząd złoży w tej kwestyi doń w najbliższych dniach odpowiednią deklaracyę w komisyi ugodowej i zapowie przedsięwzięcie stosownych kroków przygotowawczych i wdrożenie pertraktacyi z rządem węgierskim. Swoją zaś drogą powinien rząd zapomocą odpowiednich zarządzeń postarać się o to, ażeby ewentualne zniżenie podatku od cukru, wyszło na korzyść szerokich warstw ludności i wywołało zniżenie ceny cukru w handlu o całą różnicę między dawnym a nowym podatkiem, bo bardzo możliwem jest, że kartel fabrykantów cukru zechce dla siebie zagarnąć lwią część ofiary, poniesionej przez państwo.

Głos uczciwego Niemca w sprawie polskiej.

Nikczemny projekt ustawy o wywłaszczeniu Polaków w Poznańskiem, wywołał nietylko wśród Polaków, ale także wśród uczciwych Niemców niesmak i niezadowolenie, jako krok nieetyczny i niepolityczny. Między innemi pojawiła się świeżo w Poznaniu broszura w tej kwestyi, napisana przez p. Pawła Fussa, właściciela dóbr rycerskich Wituchowa, a zarazem dzierżawcy domeny, a zatytułowana *„Die Zustände in der Prowinz Posen*, von Paul Fuss — Wituchowo bei Kwiltuch, Königlicher Oberamtmann und Rittergutsbesitzer". Głos autora jest otwarty, szczery, nie obrażający nikogo, ani nikomu nie schlebiający, taki, jakim właśnie powinien być głos uczciwego człowieka, a ma tem większe znaczenie, że rodzina pana Fussa od stu lat osiedlona jest w Poznańskiem, on sam pracuje tam na roli od lat 30-tu, zatem pewnym być można, że zna dobrze i społeczne i polityczne stosunki tej swojej rodzinnej dzielnicy. Rozumie on i ma nawet znaczne współczucie dla przywiązania naszego do własnej narodowości, wspomnień dziejowych, nawet tęsknoty do dawnej samodzielności politycznej, która przecież bynajmniej temu nie staje na zawadzie, że obowiązki państwowe Polacy pod zaborem pruskim spełniają bez szemrania

---

10)

Maciej Łubieński.

ZŁOTA NIĆ.
POWIEŚĆ.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy).

Tola odezwała się półgłosem wzruszona:
— Ja... przychodzę w innej sprawie...
— Aaa! — rzucił zdziwiony Marbutt. — Proszę, pani pozwoli...

Otworzył drzwi boczne i jednocześnie dotknął drugą ręką ściany. Oczy Toli Ireckiej uderzył blask. Niewielki gabinet zajaśniał od światła lamp elektrycznych, a w promieniach ich błękitno-srebrnych wyraziście ukazała się postać Marbutta.

Na przybyłą patrzał mężczyzna młody jeszcze, zamyślonym wzrokiem, dużych szafirowych oczu, ocienionych brwią gęstą, odbijającą ostro na białem, wypukłem czole, nad którem nieco rozrzucone falowały ciemno-kasztanowate włosy. Takaż niewielka broda, okalała twarz nerwową, ściągłą, o regularnych rysach.

Tola stała bez słowa, wpatrzona w twarz Zdzisława, wyrażającą zrazu zupełną obojętność. Pod promieniami jednak czarnych oczu dziewczęcia, oblicze Marbutta rozjaśniło się nagle. Postąpił żywo ku przybyłej.

— Tola?! — wybiegło mu na usta słowo jedno, a drżało w niem zdziwienie, połączone z ukrytą jakby radością.

Zawahał się chwilę, potem chwycił obie ręce dziewczęcia i złożył na nich serdeczny pocałunek...

Toli ze wzruszenia zakręciły się łzy w oczach, opanowała się jednak natychmiast.

— Ja we własnej osobie — odparła. Nie spodziewałeś się — urwała zarumieniona. — Nie spodziewał się pan, panie Zdzisławie, spotkać mnie tutaj, wszak prawda? — poprawiła się.

— Nigdy w życiu! Co nie przeszkadza, że sprawiła mi pani niezwykłą przyjemność... Z panią razem, panno Tolu, stanęła przedemną nagle cała przeszłość moja!

Umilkł. Po chwili wskazał krzesło.

— Proszę, niechże pani siada — mówił serdecznie. — Czem służyć mogę? Co panią do mnie sprowadza? Boże, mój Boże, ileż to lat nie widzieliśmy się już wcale! Będzie z piętnaście chyba?... — spojrzał pytająco w twarz Toli.

— Czternaście! — poprawiło młode dziewczę. — Widzi pan — rzuciła z bezwiednie zalotnym uśmiechem — pamiętam lepiej od pana!

Zdzisław uśmiechnął się smętnie i usiadł naprzeciwko niej.

Rozpoczęła się pogawędka swobodna, żywa, rozpamiętywanie pobieżne lat minionych, faktów, zdarzeń ubiegłych, zapełnianie szczerem, wzajemnem opowiadaniem próżni lat kilkunastu, które stały poza tem dwojgiem ludzi, w snach młodzieńczych tajemnie rojących dawniej o sobie, że ręka w rękę może pójdą kiedyś przez życie na wspólną dolę i niedolę...

Życie rozwiało ich marzenia i teraz kolejami wspólnych istnień różni sobie dalecy, odnajdywali jakiś czar dziwny we wspomnieniu, choćby powierzchownem tylko epizodów z dawnego życia.

— Pamięta pani — mówił Marbutt — ostatnie nasze widzenie się. Nie przypuszczaliśmy wówczas, iż pójdziemy drogami tak innemi...

Westchnął i zamyślił się chwilę. On również kochał niegdyś Tolę świeżem uczuciem młodego serca, pierwszą wiośnianą miłością. Czy kochał ją i teraz jeszcze?... sam o tem napewno, w tej chwili przynajmniej nie wiedział. Czuł tylko w sobie jakąś radość niewytłómaczoną radość duszy, która po wielu latach spotkała się znów z duszą siostrzaną, związaną z nią nicią wspólnego wspomnienia.

I mówił dalej z łagodnym, dobrym uśmiechem.

— Był wówczas smutny, jesienny zmierzch. Zaprzęgano konie, które zajechać po mnie miały. Jechałem na studya. W obszernej sali jadalnej pałacu staliśmy z panią Zaworliniecką u okna, staliśmy bez słowa, jakżeż długo! Tyle wyrazów cisnęło się nam na usta, prawda? — tu spojrzał na Tolę — nie mówiliśmy nic... Zapadał coraz większy mrok, zaturkotało... Trzeba było jechać! Ach, jak te chwile ostatnie pamiętam... A pani?... — pochylił się i spojrzał w oczy Toli.

— I ja pamiętam! — wyszeptała cichutko.

Zapanowało chwilowe milczenie, w przyległych pokojach rozlegały się jakieś uderzenia, stąpania, przesuwanie sprzętów.

— Więc pani — przemówił Marbutt — opuściła Zaworlińce na zawsze? Dlaczego?...

Tola zarumieniła się.

— Opowiem to panu kiedyś... dziś — tu zajęknęła się — mam z panem ważniejszą sprawę do omówienia.

— Słucham! — rzucił skwapliwie Marbutt.

— Chcę znaleść tutaj obowiązkową pracę, która dałaby mi możność utrzymania się — gdyż — uśmiechnęła się — kapitały moje nie są tak wspaniałe, żeby mi wystarczyć mogły.

— A gdzież się podziały kapitały nieboszczki? Miała przecież mały mająteczek...

— Niestety, umieściła biedaczka te pieniądze u bankiera, który stracił wszystko...

— Tak?... — zadziwił się Marbutt i dorzucił: — Dobrzy ludzie aby ci teraźniejsi właściciele Zaworliniec?... Jak się nazywają?

— Brankowscy. Co do ich dobroci — to długa historya! — ucięła krótko Tola.

Marbutt nie odpowiedział, zamyślił się chwilę, poczem rzekł:

— Mam nadzieję, iż zobaczymy się niedługo i omówimy wszystko jak należy. Wyspowiada mi się pani dokładnie ze wszystkich trosk. Mnie można, wszak prawda?.. Taki ze mnie dawny i prawdziwy przyjaciel... A jutro tymczasem wezmę się odrazu do dzieła. Poszukam dla pani zajęcia. Adres?

Tola podyktowała Marbuttowi nazwę ulicy i numer domu.

— Dobrze! — zawołał Zdzisław wesoło. — Jakże mi miło, że pani zwróciła się wprost do mnie! Nigdy tego pani nie zapomnę. Niechże mi pani coś jeszcze powie o sobie... No i cóż ci Brankowscy?

Pytanie Marbutta przerwał dzwonek w przedpokoju — jednocześnie zegar wybił godzinę ósmą.

Tola zerwała się.

— Tak późno! Muszę już iść...

Marbutt nie zrozumiał dobrze, co chciała powiedzieć.

— Niechże pani będzie spokojna... Otworzą, to pewnie jakaś posyłka.

Drzwi od przedpokoju skrzypnęły i odezwał się głos kobiecy:

— Czy pan jeszcze tutaj?

— Moja żona! — objaśnił Zdzisław i instynktownie zmieszali się oboje.

— Jakaś pani z interesem jest u jaśnie pana! — mówił głośno służący w przedpokoju.

Rozległ się szelest sukni i kroki przybyłej oddaliły się.

Tola jednocześnie powstała.

— Muszę już iść!... Przepraszam, że tak wiele czasu zabrałam panu. Do widzenia!...

Marbutt machinalnie podał rękę Toli w milczeniu. W głowie jego utkwiło pytanie:

— Zaznajomić Tolę z Irmą — czy nie?...

— Nie, nie! — szeptało mu coś w duszy i Marbutt usłuchał tego głosu. Rzekł tylko miękko do Toli, z dobrem spojrzeniem rozumnych oczu.

— Dziękuję pani raz jeszcze... bardzo, za to, iż nie zapomniała pani o mnie i zajrzeć tutaj zechciała...

— Do rychłego zobaczenia... Jestem zawsze w domu od drugiej do czwartej! — rzekła cicho Tola i nacisnęła klamkę. Spojrzała w głąb pokoi... W perspektywie komnat zobaczyła sylwetkę Marbuttowej, oglądającej jakiś sprzęt i odwróconej do niej plecami.

(Ciąg dalszy nastąpi)

i tak wzorowo, że za czasów wojny austryackiej i francuskiej, generałowie pruscy dzielność pułków poznańskich podziwiali i innym za wzór do naśladowania przedstawiali.

Obecnej polityki pruskiej względem Polaków nie uważa p. Fuss ani za zaszczytną, ani za korzystną dla rządu. Służy ona tylko karyerowiczowstwu, szpiegowstwu, donosicielstwu, nadużyciom urzędniczym, prowadzi do rozgoryczenia i staje się najsilniejszą propagandą socyalizmu przewrotowego, rolników pozbawia sił roboczych, a gdyby zamierzony projekt wywłaszczenia miał być uchwalonym, byłby oczywistem pogwałceniem konstytucyi i zasady uszanowania własności prywatnej. Jako konserwatysta, w dobrem tego słowa znaczeniu, z zasady jest przeciwnikiem podobnej ustawy, która, jak słusznie zauważa, w te zasady jak najsilniej uderza, z pełnem więc przekonaniem usilnie przestrzega tak swoich współwyznawców politycznych, jak i rząd przed wnoszeniem zamierzonego projektu.

Autor zwraca się na wstępie do swoich ziomków na zachodzie, którzy grzesząc brakiem najelementarniejszych znajomości „prowincyi" poznańskiej, malują sobie najfałszywszy obraz tej żyznej, przez potulny i łagodny naród polski zamieszkałej dzielnicy. Przyznaje, że brak tam jest kultury, dróg, kolei, zakładów publicznych, komfortu w miastach i miasteczkach i czystości, ale wina w tem rządu, nie Polaków.

Polacy — pisze p. Fuss — słusznie bronią swej narodowości, protestują przeciwko jawnemu krzywdzeniu ich, przeciwko niemieckiej nauce religii, a jednocześnie starają się o pomnożenie swego majątku narodowego, aby mieć polskie parcele i na nich się osiedlać, skoro polskim obywatelom nabywać pruskich kolonii nie wolno. Ale rząd niebawem poszedł dalej jeszcze. Zakazał wogóle Polakom osiedlać się i budować domy mieszkalne. Gdzie tylko w zachodnich Niemczech na ten temat rozmawiałem, nie chciano mi wierzyć, aby gdziekolwiek takie prawo wykonano. Wzywam cały świat cywilizowany, aby takie postępowanie osądził!

Ustawy wyjątkowe, przeciwko Polakom wymierzone, nie pozostały bez skutku. Na ostrzu noża stanęła kwestya robotnicza. Bo gdzież ma robotnik okazywać ochotę do stałej pracy w jednem miejscu, kiedy wie, że na starość nie wolno mu zakupić kawałka roli i chaty sobie zbudować? Brak zatem sił roboczych na Wschodzie, a że i na zachodzie z innych powodów nie lepiej, stosunki ziemiaństwa, podstawy państwa, pogarszają się stale. Również robotnicy galicyjscy i „rosyjscy" dotknięci wyjątkowemi ustawami, prowadzą życie koczownicze, bez ochoty i zapału do pracy, wymagający i coraz droższi, a co rok obcy, co rok zawsze inni. Rozbijanie większych majątków na kolonie i sprowadzanie chłopów rzekomo niemieckich ze wszystkich stron świata cofa, urządzoną na wielką skalę, kulturę ziemi, szkodzi zaś finansowo i politycznie państwu.

Aby dalej prowadzić dzieło przeciwpolskiej kolonizacyi — powiada p. Fuss — i wobec tego, że od Polaków wogóle nic, a od Niemców tylko za nader wysoką cenę majątki nabyć można, powzięto zuchwałą myśl wywłaszczenia. I w istocie znaleźli się ludzie, którzy sądzą, że na to sejm pruski się zgodzi. A przecież byłby to krok, który podstawę konstytucyi, ochronę prywatnej własności, brutalnie obala i depce! Czyn taki wołałby o pomstę do nieba i zemściłby się strasznie!

Polaków, potulnych i cierpliwych, zamieniłby na socyalistów zawziętych, wpędziłby w ramiona socyalnej-demokracyi nie oddzielne jednostki, ale całą prowincyę państwa. Wyjątkowe prawa stosować można tylko przeciwko zdrajcom stanu. Czy Polacy kiedykolwiek czyn jawnego oporu przeciw państwu popełnili? Nie; Polak żąda tylko zniesienia wyjątkowego prawa zakazu osiedlania się; żąda nauki religii w ojczystym języku: żąda całej, własnej, nieukróconej narodowości. A jeżeli w duszy zachował nadzieję uzyskania kiedyś niepodległej polskiej ojczyzny, to my, Niemcy, nie mamy prawa tej myśli mu zakazywać. Tej dalekiej przyszłości Niemcy nie potrzebują się obawiać, podziwiać winni natomiast hart duszy i wytrwałość narodową Polaków.

Niesłusznie też zarzuca się Polakom nadmiar dobrodziejstw od rządu pruskiego. Nietylko im ich nie wyświadczano, ale wszędzie ich prawa obywateli pruskich ukrócano, tym Polakom, którzy wykonywają wszystkie obowiązki, płacą podatki, a w r. 1866 i 1870 bili się za ojczyznę niemiecką tak, że ich Niemcom za wzór stawiano".

Autor wskazuje w końcu stosunek Lotaryngii i Alzacyi do Francyi i wzywa Niemców, aby, pamiętni na dewizę *suum cuique*, dali Polakom co im się należy, a wychowają sobie z czasem szczerych przyjaciół na wspólnej ziemi".

Broszura p. Fussa dostanie się do rąk wszystkich członków Izby panów, sejmu i parlamentu w Berlinie.

List do Redakcyi.

(Skarga na porządki pocztowe).

Wielmożny Panie Redaktorze!

Tyle czytam skarg na obecny zarząd poczty galicyjskiej, że zebrała mnie chętka do tego bukietu dodać mały, ale wonny kwiatuszek. Do mnie, chwilowo bawiącego we Lwowie w hotelu Imperial, nadszedł przekaz na znaczniejszą kwotę. Ponieważ za interesami bawiłem na mieście, więc dla mnie nieobecnego zostawił listonosz uwiadomienie u portyera, ażebym udał się na pocztę i przekaz podjął.

Posłuchaj Wielmożny Panie Redaktorze i osądź sam.

Idąc za wskazówkami udzielonemi mi przez portyera, udaję się na 1 piętro gmachu, gdzie się mieści likwidatura pocztowa. Urzędnik, po którego wyglądzie poznałem, że jest zdaje się neurastenikiem, odpowiada mi zmęczonym głosem, że u niego tego przekazu niema, że muszę się udać na dół na koniec gmachu, gdzie zastanę tego listonosza, który ma przekaz. Idę tedy na dół, wracam się (nawiasem mówię, że mam lat 60) i pytam się portyera, gdzie są listonosze, którzy noszą przekazy. Portyer mi wskazuje korytarz, którym idąc na końcu znajdę salę listonoszów pieniężnych. Wchodzę tedy do wielkiej sali i już zmierzam ku środkowi, kiedy przystępuje do mnie urzędnik (miał bluzkę z 3 gwiazdkami) i oświadcza, że tu nie wolno obcym się kręcić. Na uwagę, że szukam listonosza pieniężnego, odpowiada mi ów pan, że należy wrócić, wyjść na ulicę, potem na prawo wzdłuż gmachu, potem gdzie tramwaj skręca na górę, tam będzie brama i tą bramą mam się udać do miejsca przeznaczonego dla listonosza pieniężnego.

Cóż miałem robić. Wróciłem się tedy spocony (byłem bowiem we futrze) i udałem się wskazaną mi drogą. Znalazłem się w korytarzu ciemnym, śmierdzącym, gdzie kilka osób czekało już pewno na listonoszów i spytawszy się, gdzie jest sala dla listonoszy pieniężnych otrzymałem wskazówkę na jedne drzwi. Otwieram. Panie Redaktorze przyjdź i zobacz, a ręczę Ci opłaci się dla Twego pisma trud.

Lecz mniejsza z tem. Dopytałem się więc o tego listonosza, który — właśnie, jak mi powiedziano wyszedł już do domu.

Pytam się drugiego co robić? Powiada, że przekazy ten listonosz już zwrócił i są na górze u urzędnika.

Wielmożny Panie Redaktorze! Pieniądze potrzebne — wracam tą samą drogą ja, człowiek 60-letni, aby się dowiedzieć od urzędnika, że przekaz ten dopiero o godz. 6 tej wieczorem otrzyma z dołu.

Wierzaj mi WPanie, że gdyby nie zbiedzona twarz tego funkcyonaryusza, tobym wpadł w pasyę i nagadał mu impertynencyj. Zmitygowałem się i pomyślałem sobie: ty i ja obaśmy biedacy, kiedy mamy taki mądry zarząd pocztowy.

Marcin Januszewski.

KRONIKA.

Lwów 25 listopada.

Zaprzysiężenie p. Abrahamowicza. Nowy minister dla Galicyi p. Dawid Abrahamowicz będzie dziś na audyencyi u Cesarza w Schönbrunie i złoży przysięgę.

Nowy minister dla Galicyi p. Dawid Abrahamowicz należy niezaprzeczenie do najwybitniejszych mężów politycznych w naszym kraju i nic dziwnego, gdy się zważy, że na niwie politycznej pracuje blisko od lat 40. Po raz pierwszy wybrany został posłem na Sejm w roku 1870. Wybór ten jednak unieważniono ze względu na to, że p. Abrahamowicz nie miał jeszcze wówczas skończonych lat 30. W tym samym mniej więcej czasie objął wiceprezesurę galic. Towarzystwa gospodarczego, a w r. 1874 zasiadł w Sejmie jako poseł z tej samej kuryi, która wybrała go pierwszym razem. W r. 1875 nabył dobra Siemianówka pod Szczercem w okręgu lwowskim i tutaj przesiedlił się z Pokucia. W owym czasie powołany został do gruntowej komisyi padatkowej, która później zajęła się oszacowaniem gruntów, a od r. 1880 należał do reprezentacyi podatkowej i rozwijał w niej energiczną, obfitą w owoce działalność. W r. 1881 zajął on po teściu swoim, słynnym parlamentarzyście Kornelu Krzeczunowiczu, kszesło poselskie w parlamencie wiedeńskim, jako przedstawiciel kuryi wiejskiej okręgu lwowskiego. Następnie reprezentował ten sam okręg i w Sejmie; później wybierany bywał z większej własności wymienionego okręgu. W listopadzie 1893 został wiceprezydentem Izby i na tem stanowisku był stale brutalnie atakowany przez obstrukcyonistów niemieckich, nigdy jednak nie stracił wobec nich zimnej krwi i stanowczości. Za swoją wybitną działalność otrzymał w r. 1897 krzyż komandorski orderu Leopolda, a w r. 1898 godność tajnego radzcy. Po śmierci ś. p. Jaworskiego został p. Abrahamowicz, w miejsce hr. Dzieduszyckiego, który objął przewodnictwo, wiceprezesem Koła polskiego. W nowej Izbie Koło polskie postawiło go na swojem czele. Wytrawna i przezorna jego polityka niejednokrotnie przyniosła krajowi naszemu wielkie korzyści i uznanie nawet u przeciwników znalazła.

JE. Dawid Abrahamowicz jest dwunastym z rzędu ministrem rodakiem. Poprzedzili go: Grocholski (1871—1873), dr. Floryan Ziemiałkowski (1873—1888), Filip Zaleski (1888—1893), Apolinary Jaworski (1893—1895), dr. Leon Biliński (1895—1896), dr. Edward Rittner (1896—1897), br. Herman Loebl (1897—1898), dr. Adam Jędrzejowicz (1898—1899), dr. Kazimierz Chłędowski (1899—1900), dr. Leonard Piętak (1900—1906) i hr. Wojciech Dzieduszycki (1906—1907).

Wielce pożądana reforma w czyszczeniu miasta ma być wreszcie zaprowadzona we Lwowie. Oto zniesiony będzie dotychczasowy system zamiatania ulic w dzień, bez poprzedniego skrapiania ich, a zaprowadzony zostanie system zamiatania ulic, praktykowany w krajach kulturalnych. Mianowicie ulice będą doskonale przez zamiataniem skropione, a zamiatanie będzie się odbywało w nocy, między 10 wieczorem a siódmą rano, to jest w czasie kiedy najmniej ludzi znajduje się na ulicach.

Miasto ma być podzielone na pięć okręgów. Każdy okręg będzie miał swojego dozorcę, odpowiadającego za czystość w swoim okręgu, a nad wszystkimi dozorcami będzie jeden inżynier miejski, któremu będzie powierzona nad nimi kontrola.

Defraudacya w kahale tarnopolskim. Syoniści namiętnie walczyli, żeby nie dopuścić do wyboru dra Landesberga, żyda polskiego, na prezesa kahału. Pomimo jednak gorących ich zabiegów większość tarnopolskich izraelitów oświadczyła się za nim. Zaledwie dr. Landesberg został wybrany, natychmiast udał się do starostwa z prośbą, aby przeprowadzono szkontrum kasy kahału. Kiedy tylko zaczęto przeprowadzać szkontrum, wykryto defraudacyę 2300 koron w funduszu szkolnym. Funduszem tym zarządzał syonista, p. Korngrün. Sprawa ta wywołała ogromną konsternacyę w obozie syonistów tarnopolskich.

Za karygodną agitacyę. Przed sądem lwowskim stawał Iwan Zawadzki, chłop z Dynisk, oskarżony o to, że podczas wyborów, agitując za drem Dniestrzańskim, teraźniejszym sekretarzem Klubu ukraińskiego w Radzie państwa, groził wyborcom Polakom i Żydom, że jeżeli nie będą za drem Dniestrzańskim głosowali, to ich wszystkich wymorduje. Po przeprowadzeniu rozprawy i udowodnieniu winy, sąd skazał go tylko na trzy tygodnie aresztu i na pozbawienie prawa wyborczego czynnego i biernego na sześć lat.

Myłka w depeszy. Doniosła nam w sobotę depesza warszawska, że p. Studnickiego, redaktora dwutygodnika *Naród i państwo*, wychodzącego w Warszawie, skazano na miesiąc aresztu za przedrukowanie z *Kuryera lwowskiego* artykułu panny Dulębianki „Nie chodźmy do dumy", wzywającego wyborców w Królestwie polskiem, żeby nie wybierali posłów do dumy. Dzisiaj mamy przed sobą szczegółowe sprawozdanie z tej rozprawy i okazuje się z niego, że p. Studnickiego skazano nie na miesiąc aresztu, ale na rok twierdzy. Żałujemy go szczerze, bo artykuł nie był ani mądry, ani polityczny, nie warto więc go było przedrukowywać i za niego cierpieć. A rok twierdzy dla człowieka schorowanego i który już odbył katorgę na Sybirze, to rzecz straszna, bo niezawodnie w wilgotnych lochach moskiewskich dostanie on suchot i życiem przypłaci chwilę nierozwagi.

Zamknięcie uniwersytetu kijowskiego. Doniosły nam depesze, że uniwersytet kijowski zamknięto do 25 listopada starego stylu. Powodem zamknięcia był wiec odbyty przez studentów w uniwersytecie, pomimo, że rektor zakazał odbycia wiecu. O przebiegu tego nader burzliwego wiecu nadchodzą następujące szczegóły: Gdy studenci zebrali się w jednej z auli uniwersyteckich, pojawiła się nagle policya. Podrażnieni tem studenci poczęli wołać: „Nie rozejdziemy się, póki wy tutaj będziecie!" Organy policyi zażądały od zebranych okazania legitymacyi studenckich — na co studenci odpowiedzieli podarciem w drobne kawałki swych biletów. Gdy następnie studenci zaczęli ustawiać barykady z ławek, policya poczęła aresztować ich. Zaaresztowano ogółem 534 studentów. Wszystkich aresztowanych odprowadzono pod konwojem do menażu. Tu przez kilka godzin nie chcieli oni wyjawić swych nazwisk. Dopiero o godzinie 1-ej w nocy dobrowolnie poczęli wymieniać swe nazwiska. Policya zapisała nazwiska i wtedy studentów wypuściła.

Banicya portugalskiego następcy tronu. Z Lizbony nadchodzi wiadomość, że następca tronu książę Ludwik Filip otrzymał nakaz natychmiastowego opuszczenia Lizbony i osiedlenia się w małej mieścinie Villaricase. Banicya ta nastąpiła za karę, iż żądał on od króla, aby albo zmienił zasadniczo swoją absolutystyczną politykę, albo żeby zrzekł się na jego rzecz tronu. Przyczem miał następca tronu dodać, że liczy on na poparcie jednego z wybitnych przywódzców politycznych. Wogóle w Portugalii zaostrzają się bardzo stosunki.

O sytuacyi w Portugalii przynosi nam prasa europejska następujące informacye, za które oczywiście żadnej na siebie nie możemy brać odpowiedzialności. Oto opowiadają zagraniczne dzienniki, że ruch antydynastyczny, ogarniający obecnie olbrzymią większość ludności portugalskiej, zwrócony jest przedewszystkiem przeciw osobie króla Karola I, który daje wiele powodów do niezadowolenia ludności i postępowaniem swojem niszczy popularność dworu. Przedewszystkiem nie umie on dostosować wydatków dworu do jego środków, a kolosalne wydatki swoje i swego otoczenia, nie znajdujące pokrycia w liście cywilnej, każe pokrywać z funduszów państwowych. I tak olbrzymie rachunki za bajecznie kosztowne toalety królowej i królowej matki były przez czas dość długi opłacane z budżotu ministeryum spraw zagranicznych, a od niedawna opłacane są z budżetu ministeryum wojny.

Gdy raz któryś z ministrów nie chciał akceptować takiego rachunku, królowa-matka ogromnie się na niego rozgniewała i wyjechała za granicę. Mimo to tak królowa, która jest osobą nadzwyczaj miłą i sympatyczną, jak i nawet królowa-matka cieszą się popularnością wśród ludności, a nienawiść zwraca się wyłącznie przeciw królowi. Prasa zagraniczna przedstawia go jako człowieka niezwykle niesympatycznego, nie umiejącego nad sobą panować. Ma on być niewielkiego wykształcenia, a jest bardzo silny, chętnie przechwala się tą swoją siłą i ma mieć maniery bardzo rubaszne. Do ministrów swoich mówi per ty, tak samo jak do lokajów. Dzienniki zagraniczne zapewniają, iż w swoim czasie król Karol portugalski, jeszcze jako następca tronu starał się o rękę austryackiej arcyksiężniczki Waleryi i w tym celu przyjechał nawet do Wiednia. Tu jednak w wołał swojem zachowaniem się wrażenie tak niemiłe, że już po dwóch dniach dano mu do zrozumienia, że najlepiej uczyni, jeżeli co rychlej opuści Wiedeń, co też on bezzwłocznie uczynił. Na podstawie informacyi z kół dyplomatycznych utrzymuje prasa europejska, że nawet monarchowie obcych państw, a przedewszystkiem cesarz Wilhelm i król Edward żywią uzasadnioną niechęć do króla portugalskiego. Przytem ludność w Portugalii zarzuca mu najrozmaitsze niewłaściwości w postępowaniu. I tak np. portugalska rodzina królewska ma w depozycie i zarządzie majątki wygnanej dynastyi portugalskiej rodziny Braganza. Zaś król Karol znajdujący przyjemność w hojnem obdarowywaniu niektórych osób zaspokaja te zapędy swojej hojności. . z depozytu Braganzów. Miał on już rozdać wiele klejnotów z tego nieswojego skarbca A gdy tego roku na wiosnę bawił w Lizbonie król Edward angielski, ofiarował mu król portugalski w upominku wielki brylant olbrzymiej ceny Opinia publiczna w Portugalii jawnie oskarża króla, że ten brylant wziął on ze skarbca Braganzów, w którym był to jeden z głównych klejnotów.

Wśród takich warunków oczywiście współdziałanie króla z parlamentem było bardzo trudne, a ostatecznie stało się zgoła niemożliwe. Król więc — jak wiadomo — uciekł się do zawieszenia konstytucyi i wprowadzenia ostatniego prezydenta ministrów Franca jako dyktatora. Przeciwko królowi i mianowanemu przez niego dyktatorowi utworzył się pod przewodnictwem wybitnego portugalskiego męża stanu Julio de Vilhena blok zjednoczonych wszystkich stronnictw ostatniego parlamentu, który otwarcie występuje przeciw królowi. Julio de Vilhena wyraża nadzieję, iż może mu się uda sytuacyą pokierować w ten sposób, że król cofnie dyktaturę i usunie Franca, a wtedy mogą się stosunki ułożyć pokojowo. Cała jednak sytuacya w Portugalii, przynajmniej jak ją przedstawia prasa zagraniczna, zdaje się wskazywać na to, że te nadzieje są złudne i że Portugalia stoi w przededniu rewolucyi. Nawet pokojowo usposobiony Vilhena przyznaje, że przesilenie, jakie obecnie przebywa jego ojczyzna, jest najcięższem ze wszystkich, w jakich w nowych czasach znajdowała się Portugalia kiedykolwiek. Charakterystyczne światło rzuca na sytuacyę tamtejszą następujące wynurzenie dyktatora Franca. Oto dał się on interviewować przez pewnego dziennikarza i opowiedział mu taką historyę: Przedłożył on królowi prośbę o dymisyę, a król rzekł: „Przypominam ci tego grenadyera z Poczdamu, który chciał uciec. Fryderyk Wielki spotkał go w chwili, gdy on właśnie zbierał się do ucieczki i powiedział doń: jutro będziemy walczyć razem, a jeżeli zostaniemy zwyciężeni, razem zdezerterujemy..." Te zwierzenia Franca wskazują w każdym razie na to, że król jakby identyfikuje swoje położenie z utrzymaniem się dyktatury Franca i że sytuacya w Portugalii wogóle jest nader poważna.

Lekarze wobec wyborów do Rady miejskiej. W nadchodzącą sobotę (30 b. m.) odbędzie się we Lwowie wiec lekarzy lwowskich, w celu utworzenia komitetu przedwyborczego lekarzy. Ma on być zupełnie bezpartyjnym, a starać się będzie tylko o wprowadzenie do Rady miejskiej większej niż dotychczas liczby lekarzy, w tym celu, aby Rada w tak ważnych kwestyach jak sprawy sanitarne miała więcej fachowców.

Przeciw kandydaturze p. Daszyńskiego. Jak wiadomo poseł do Rady państwa z okręgu Frysztak na Szląsku, p. Tadeusz Reger zrezygnował z mandatu w tym celu, aby zrobić miejsce p. Daszyńskiemu. Tymczasem, jak z Cieszyna donoszą, rozwinięto tam silną agitacyę przeciw p. Daszyńskiemu, a jako jego kontrkandydata wysunięto Henryka Burę, robotnika i sekretarza Związku chrześcijańskich robotników w Karwinie.

Lwowskie Towarzystwo łyżwiarskie ogłasza, że osoby, które w przeciągu dni 8 zgłoszą się do zarządu, celem poddania się egzaminowi kwalifikacyjnemu w sztucznej jeździe na łyżwach i odbędą go z całkiem dobrym skutkiem, otrzymają roczne wolne karty wstępu w obręb Stawów Panieńskich a nadto będą mogły ubiegać się także o przyjęcie na etat stałej płacy. jako instruktorowie szkoły łyżwiarskiej, która ma być otwarta na torze wspomnianych stawów. Ogłoszenie to jednak nie dotyczy osób, które już brały udział w zawodach na torze lwowskiego Towarzystwa łyżwiarskiego.

Działalność polskiej „Macierzy szkolnej" w Królestwie. Wczoraj odbyło się w Warszawie pierwsze walne zebranie członków tej niestrudzonej niezrażonej przykrościami, jakich doznaje od władz, a wielce pożytecznej instytucyi. Z przedłożonego sprawozdania z czynności za czas istnienia tej instytucyi, to jest od lipca roku zeszłego wyjmujemy kilkanaście najważniejszych cyfr. Są one wprost imponujące. Oto w tak krótkim czasie powstało pod egidą „Macierzy" ogółem 781 Kół, z których jednak tylko 575 Kół nadesłało zarządowi głównemu swe sprawozdania o działalności. Dla Kół tych zarząd główny wystąpił do władz naukowych o pozwolenie na otwarcie 1 247 szkół, uzyskano jednak pozwolenie tylko na 681 szkół. Na 316 podanych władzom do zatwierdzenia nauczycieli, otrzymało zatwierdzenie tylko 159 nauczycieli. Na ogólną liczbę 163 szkół dla gubernii siedleckiej do lipca b. r. nie otrzymano ani jednego pozwolenia, na ogolną zaś liczbę 228 szkół dla gubernii lubelskiej, otrzymano pozwolenia na 32 szkół, lecz z pozwoleń tych zarząd nie mógł skorzystać ze względu na kończący się rok szkolny Z tegoż powodu, mimo otrzymania pozwolenie na otwarcie 681 szkół, zarząd mógł przystąpić do otwarcia jedynie 141 uczelni, niezależnie od szkół średnich. Ochronek w okresie sprawozdawczym założono 317 bibliotek i czytelń 505, niezależnie od znacznej liczby kursów dla analfabetow, odczytów i pogadanek.

W szkołach Macierzy uczyło się w roku sprawozdawczym 63.000 młodzieży, z ochronek korzystało 14.400 dzieci, z czytelni i bibliotek 400.600 osób. Koła liczyły ogółem 116.340 członków. — Przypominamy jednak, że statystyka powyższa dotyczy tylko 575 Kół, które nadesłały swe sprawozdania zarządowi głównemu, co oczywiście nie przedstawia całokształtu działalności Macierzy ze względu na brak danych z czwartej części ogółu Kół.

Sprawozdanie kasowe Kół również niekompletne, bo uwzględniające tylko 473 Koła, które nadesłały swe sprawozdania, — wskazuje, że w roku sprawozdawczym na cele Macierzy wpłynęło za pośrednictwem zarządu głównego około 388.000 rubli i za pośrednictwem Kół 422.000 rubli. Ogółem ofiarność publiczna dosięgnęła sumy 810.000 rubli, nie licząc wartości nieruchomości i placów pod budowę szkół, ofiarowanych poszczególnym Kołom i nie włączając w to 308 Kół, które nie złożyły sprawozdań kasowych. Sumę tę złożono ze składek członków, zapisów i ofiar jednorazowych, wraz z jednodniowym darem 3-go Maja, na który złożono 155.780 rubli.

Zarząd główny „Macierzy", jako organ centralny autonomicznie tworzonych Kół, nie poprzestał jednak na ogólnem kierownictwie sprawami Towarzystwa, lecz usilnie pracował nad dalszym wszechstronnym rozwojem „Macierzy". W pracy

---

2)

Feljeton literacki.

Władysław Łoziński: *„Życie polskie w dawnych wiekach (wiek XVI—XVIII)"* — Lwów, nakładem H. Altenberga, Warszawa E. Wende i Ska. 1907, str. 232.

(Ciąg dalszy).

Przykłady powyższe przytoczyliśmy bez wyboru, tylko dla dania wyobrażenia. Podobnym był zbytek w strojach. Wystarczy nadmienić, że za jedną skóreczkę sobolową płacono po 6 dukatów, że szuby sobolowe płacono po 2000 dukatów i więcej. Jedwabne tkaniny pochodzenia włoskiego lub wschodniego, złotolite materye wschodnie, aksamity, adamaszki, brokaty, telety itp. pochłaniały również sumy olbrzymie. Jedna damska suknia ze złotogłowia kosztowała w pierwszej połowie XVI wieku około 100 dukatów, co na dzisiejsze pieniądze wynosi zwyż 6000 koron. W inwentarzu garderoby starosty telińskiego Stefana Potockiego wyliczonych jest 12 ferezyj po 7000 talarów, 12 delij po 1000 i 2000 talarów. Samo jednak bogactwo sukien znikomo przedstawia się wobec wprost bajecznej kosztowności guzów, feretów, pontałów i wogóle ozdób z brylantów, rubinów, szmaragdów, które przy każdem ubraniu być musiały. Każdy guz u delii podkomorzego Wojciecha Boboli kosztował w r. 1631 po 130 dukatów; przy owych ferezyach i deliach Stefana Potockiego przy każdej był duży majątek w guzach i feretach; wojewoda smoleński Firlej kazał sobie zrobić żupan zapinany na guzy złote, z których każdy miał w sobie oprawny szafir tak wielki jak połówka włoskiego orzecha.

Gdy się czyta setki całe takich przykładów, jak powyżej przytoczone, wyrwane luźnie, i dowiaduje się, że ta wspaniałość szat i klejnotów była nietylko udziałem najznamienitszej szlachty, ale i mniej zamożnej, a nawet mało zamożnej, to odnosi się pozorne wrażenie, jakgdyby ta przeszłość była jakimś światem purpury, złota, brylantów, wielkiego dobrobytu. Tak jednak nie było. Posłuchajmy jak bystro i krytycznie ocenia te pozory świetności autor dzieła na końcu rozdziału trzeciego:

„Nie mówiąc już o tem, że to, co się dzieliło na kilka wieków i na cały szereg pokoleń, co się niejako rozpraszało w przeszłości na ogromną przestrzeń czasu i miejsca, koncentruje się dziś w naszej wyobraźni i w tej koncentracyi wywołuje wrażenie po większej części czysto fantazyjne, ale i sama rzecz przedstawi się nam inaczej, jeśli zważymy, że ta amatorska obfitość drogich kamieni, złota, klejnotów, nie stała w żadnym rozumnym stosunku do rzeczywistego majątku i nie może wcale służyć za dowód wielkiego dobrobytu. W przeważnej części było to bogactwo, okupione ubóstwem, świetna fasada, poza którą daleko mniej było, niż obiecywała, poza którą niekiedy już nic więcej nie było. Wacław Potocki nazywa to „bogatą nędzą" w jednym z swych satyrycznych wierszy, opisując, jak go to olśniła w rezydencyi pewnej senatorskiej „pańska aparencya, pościel złotem szyta, ściany całe w szpalerach, w aksamitach stołki, sługi w koralu, srebrem okute pachołki", pałac czy też belweder „zbyt świetno, zbyt szumno, zaś w oborze krów kilka i mizerne gumno" — a sam pan oblężony przez wierzycieli, chowa się po kątach. Widzimy z inwentarzy, które nam wyliczają wszystkie te splendory domowe, bo tak nazywano u nas szaty, sprzęty, kosztowną broń i klejnoty, że między ich świetnością i obfitością a tem, co jest realnym dostatkiem domu, co służy rzeczywistej potrzebie, wygodzie, łatwości bytu i życia, zachodziła zbyt często rażąca dysproporcya. Był to aparat świąteczny, a święto nad wszelką miarę żyło kosztem dnia powszedniego. Więcej to była wada czasów, niż narodowego charakteru, bo na całym współczesnym świecie działo się podobnież, tylko, że wśród daleko szczęśliwszych warunków społecznych i ekonomicznych i z większą szansą wyrównania kontrastów.

Nie brakło też kontrastu zbytkowi wielkiej i możnej szlachty — było nim już samo tło społeczne, w całości swojej takie szare i ubogie, że gdybyśmy mogli je widzieć dzisiaj roztoczone przed sobą, ujrzelibyśmy, jak ta świetność gubiła się w płowej masie, jak ten złoty haft nie wystarczał, aby z tła zrobić malowniczy kobierzec.

Nie mówiąc już o ludzie, który nie wchodzi w zakres tej pracy, dość było ciemnego tła w tej warstwie, która się także „bracią szlachtą" nazywała, w mnogotysięcznym tłumie tej szlachty cząstkowej, zaściankowej, „okolicznej", czynszowej, chodaczkowej, która choć ją rzeczywisty przywilej wolności a fikcyjnej równości dzielił przepaścią od ludu, przecież sposobem swego życia, stopniem oświaty i ubóstwem, tak była bliską chłopa, że ją w naszym opisie obyczajów szlacheckich pomijamy, pozostawiając ją ludoznawstwu. Ten drobny szlachcic, najpośledniejszy „syn koronny", który ma dzisiaj więcej miejsca w powieści i poezyi, niżli go miał w historyi—dał mu przecież Mickiewicz homeryczną nieśmiertelność, przenosząc na Parnas polski zaścianek dobrzyński — ten brat szlachcic mieszkał tak samo w chałupie krytej słomą, nie zawsze i nie wszędzie opatrzonej kominem, i tem tylko różniącej się od chłopskiej lepianki, że nazywała się dworkiem i musiała koniecznie mieć ganeczek; nosił po szlachecku zawiesiste wąsy, ubierał się w siermięgę i płótniankę, a od wielkiego święta w kontusz z karazyi, przypasywał surowym rzemykiem szablę oprawną w gołą trzaskę, wotował na sejmikach, mógł wotować na króla, nazywał się w aktach „szlachetnym", używał sam tytułu pana, a żona jego „jejmości" — i oto cały splendor jego stanu. Klamką pańską, służbą wojskową, a na Rusi duchowną karyerą, ihumeństwem lub władyctwem, dobijał się niekiedy kreścytywy i niejeden z tej ciemnej rzeszy dał początek rodzinie, dziś już utytułowanej — tyle też tylko w opisie szlacheckich obyczajów powiedzieć o nim możemy. Rozsiedlony gęsto we wszystkich prawie dzielnicach Polski, mało wykazywał różnic prowincyonalnych pod względem dobrobytu, ubioru i obyczaju, ale jak wypływa z wielu wzmianek, najuboższy był i najwięcej dostarczył tematu do satyry na Mazowszu, gdzie jak twierdzi arcybiskup Marescotti w r. 1670, „szlachta zaściankowa niedawno jeszcze temu nie wiedziała, co jest złoto, srebro, lub wino", a popisywała się na zajazdach i okazowaniach w ubiorach i uzbrojeniu, wywołujących śmiech i szyderstwo widzów". Na konwokacyi warszawskiej w r. 1587 „panowie Mazurowie — czytamy w współczesnym zapisku — okazowali się dość błazeńsko, nie może być nikczemniej: mało nie wszystko, na kijach było, około dwóch tysięcy; mieli niektórzy szyszaki z łubiu świerkowego, a gęsie pióra na wierzchu dla swojej większej ważności".

Gdyśmy już przytoczyli jeden ustęp ze znakomitej pracy p. Łozińskiego, niechaj nam wolno będzie jeszcze podzielić się z czytelnikami tem, co szanowny autor mówi na początku IV rozdziału o znaczeniu rodziny i stanowisku kobiety w dawnej Polsce. Pisze on:

„Mawiano, że Polska stała jednostkami. Rzecby raczej można, że stała rodziną. W społeczeństwie tak niedostatecznie obwarowanem instytucyami ładu i bezpieczeństwa publicznego, w kraju, o którym Rej piszący w porze, co w oczach wszystkich późniejszych pokoleń uchodziła za złote czasy narodowego bytu, powiada z goryczą, „że żadna banda, a snać i cygańska nie jest w takiej niedbałości, a snać jest w lepszem opatrzeniu, niżli sławne a zacne to państwo nasze" — przeważna część tych obowiązków, które spełniać winny państwo, władze, ustawy, spadało na rodzinę. Najsurowszy nawet sędzia przeszłości przyznać musi, że rodzina polska spełniała ten wielki obowiązek, że była najsilniejszym fundamentem obywatelskim i narodowym i że w najgorszych nawet czasach być nim nie przestała. Kiedy wszystko poszło w gruzy, na niej budowało się nowe życie; przechowała w sobie wiernie wszystko, co było warunkiem i rękojmią odrodzenia.

W przeszłości, która nas tu zajmuje, spełniała misyę wyrównania, godziła sprzeczności publicznych i prywatnych interesów, była bodźcem i hamulcem zarazem: bodźcem swoją tradycyą i ambicyą, hamulcem swoją poczciwością i karnością. Można powiedzieć, że topniał w niej i miarkował się krnąbrny i porywczy temperament narodowy, poskramiał się wybujały i aż do niesforności niezawisły indywidualizm szlacheckiego charakteru. Etyczna siła rodziny długo była jedynym ratunkiem spraw publicznych i rodzina była też najwyższą, a może nawet jedyną rozstrzygającą instancyą opinii w społeczeństwie, którego klątwą była bezkarność i pobłażliwość publiczna. Bardziej niż na wyroku trybunalskim, bardziej niż na sejmikach i na sejmie, na zjazdach i na wyborach, gruntowało się zdanie o ludziach na opinii rodzinnej — nawet banita i infamis długo mógł wyzywać bezbronne społeczeństwo i żartować z wyroków publicznych, ale próg poczciwego domu wytykał kres jego zuchwalstwa, a związek z szanowną rodziną stawał się dlań niemożliwym. Człowiek wątpliwego charakteru łatwiej mógł odgrywać rolę w publicznem życiu, aniżeli znaleść poczesne miejsce u czyjegoś rodzinnego ogniska, łatwiej mu było zostać urzędnikiem powiatowym, posłem lub deputatem na trybunał, aniżeli spowinowacić się z zacną rodziną, otrzymać rękę córki dobrego domu, ożenić w nim syna.

(Ciąg dalszy nastąpi).

tej zarząd główny liczne miał trudności i przeszkody, które tamowały, a niejednokrotnie wprost wstrzymywały normalny rozwój „Macierzy" i pracę poszczególnych Kół; mimo to suma pracy zarządu głównego przedstawia się bardzo poważnie i przynosi prawdziwie chlubę niestrudzonym pionierom oświaty narodowej w Królestwie, rozwijającej się pod skrzydłami opiekuńczemi „Macierzy".

Ropa naftowa zamiast węgla. Z powodu wielkiego podrożenia węgla ma być wprowadzoną do rzeźni miejskiej już od Nowego Roku ropa naftowa. Ponieważ jednak instalacya i przerobienie palenisk kosztować będzie około 80.000 koron, przeto przynajmniej przez kilka lat nie będzie miała gmina żadnego zysku z tej przemiany materyału opałowego.

Zeby powiększyć zasób gotówki wśród publiczności, rząd włoski uchwalił wypłacać już od 25 listopada począwszy, kupon renty włoskiej, płatny dnia 1 stycznia 1908 roku. Stosuje się to do renty przynoszącej procent 3·50 i 3·75%. Co się zaś tyczy renty przynoszącej 4·50, to kupon jej będzie płatny począwszy już od 16 grudnia. Jest to niesłychana uprzejmość rządu dla publiczności.

Nieprzyzwoita propozycya. W *Giornale d'Italia* znajdujemy następujący list pana Tosellie'go, owego młodego muzyka, który przed paru miesiącami ożenił się był z księżniczką Luisą saską, eksżoną teraźniejszego króla saskiego. W liście tym opowiada p. Toselli naprzód, że w ostatnich czasach uczyniono mu propozycyę zrobienia podróży artystycznej po Rosyi, i że miał ją rozpocząć od Warszawy, a dalej tak pisze:

„Ale wyobraź pan sobie, że niejaki p. Rajchman, dyrektor Filharmonii warszawskiej, zaproponował mi za pośrednictwem mojego ajenta w Mediolanie, żeby na tych dwóch koncertach, które ja miałem dawać w Filharmonii, siedziała na przodzie estrady moja żona. Pan jesteś człowiekiem serca i szlachcicem, to pojmujesz, jakim bólem przejęła mnie ta niecna propozycya. Zaiste nie egzystencya tego człowieka poważnie mnie naraziła przedstawienia mego talentu muzykalnej i inteligentnej publiczności polskiej".

Salon odrzuconych (dosłowne tłómaczenie francuskiego „*Salon de refusés*"). Pani Zapolska, znakomita autorka dramatyczna, powieściopisarka i właścicielka bardzo ładnej galeryi obrazów, proponuje w *Dzienniku Polskim* założenie we Lwowie „Salonu odrzuconych". Skłoniła ją do tej propozycyi ta okoliczność, że przy układaniu ostatniej wystawy jesiennej, znajdującej się teraz w salonie sztuk pięknych, odrzucono bardzo dużo utworów. Pani Zapolska przypuszcza tedy, że między odrzuconemi płótnami niekoniecznie są same liche. Przecież Manetowi odrzucono także kiedyś jego „Olimpię", a dzisiaj — pisze pani Zapolska — ta wzgardzona „Olimpia" wisi już w galeryi obrazów w pałacu Luksemburskim, między nieśmiertelnemi dziełami, które przejdą — przejdą daleko. I prochu nie będzie z tych, który drwinami obrzucali przecyste dzieło Maneta, a ono będzie jaśnieć gwieździście w prostocie swej — wielkie i niezmożone.

Wyrób radium. Z Wiednia donoszą, że w tamtejszym instytucie fizykalnym prof. Franciszek Ekśner zdołał wydobyć z 10.000 kg. blendy uranowej 3 gramy radium. Koszta tego przedsięwzięcia wyniosły 30.000 koron. Wobec tego 1 gram radium kosztuje 10.000 koron. Jest to niebywale tanie radium, gdyż przedtem uzyskanie 1 grama radium kosztowało 400.000 koron. Blendy uranowej do doświadczeń dostarczył rząd z kopalń w Czechach w Joachimsthal. 1 gram uzyskanego radium oddano dla doświadczeń znakomitemu angielskiemu fizykowi Ramsayowi, a 2 gramy pozostają w Wiedniu dla doświadczeń fizykalnych i medycznych.

Poeta niemiecki, Feliks Dahn — jak się zdaje wielki patryota, dotknięty boleśnie upadkiem moralnym wśród najwyższych warstw społeczeństwa niemieckiego, ujawnionym tak dosadnie w procesie Moltke-Harden, napisał wiersz, w którym zwraca się do cieniów Bismarcka z prośbą o ratunek dla jego ojczyzny, zagrożonej rozkładem moralnym. Wiersz ten, który już obiegł całą prasę niemiecką, nosi tytuł: „Stosseufzer", a opiewa jak następuje:

Steig! grosser Bismarck, auf, aus deiner Gruft!
Hilf! Wir vergeh'n, in gift'gem Fäulnisduft.
Gleichwie mit Donners Hammer schlage drein
Und mach' uns wieder wahr, schlicht, stark und rein.

Mein Mut ward schwach,
Mein Stolz ist hin:
Fast schäm' ich mich, dass ich ein Deutscher bin.

Co w wolnym przekładzie brzmi:
Wstań, o wielki Bismarcku z grobowej ciemnicy!
Daj radę, bo giniemy w błocie, jak nędznicy! —
I uderz młotem Thora w tę górę zepsucia,
Wzbudź w nas prawdę i siłę — i czyste uczucia!

Moja duma rozwiana — męstwo me złamanem
I wstydzę się niemal, że jestem Germanem.

Rzadki wypadek w teatrze. Popularny w swojej ojczyźnie, a w całej Europie doskonale znany włoski dramaturg, Robert Bracco, autor wielu sztuk grywanych i u nas z powodzeniem, napisał świeżo nowy dramat tak niesłychanie przykry, tak męczący dla widzów, że poprostu niepodobna jest na nim do końca dosiedzieć. Z tego też powodu upadł on w Neapolu, gdzie go wystawiono, tak samo zresztą z powodzenia spotkał go w Warszawie, gdzie go w Teatrze Małym wystawiono, tego jednak w żaden despekt, o jakim jeszcze nie zdarzyło nam się słyszeć.

Ale wpierw powiedzmy parę słów o sztuce. Nosi ona tytuł „Urojenia", a bohaterem jej jest profesor medycyny Rajmund, znakomity lekarz, słynny uczony, uwielbiany przez uczniów i kochany przez młodziutką żonę, jednak bardzo nieszczęśliwy, gdyż dotknięty jest suchotami. Choroba jest już bardzo daleko posunięta a prof. Rajmund, jako fachowiec, bada ją sam na sobie i stwierdza ze swych badań wyprowadza wnioski. Oto musi umrzeć nieodwołalnie. Schorzały i upadły na duchu ukrywa się przed światem w letniem schronisku, gdzie straszną rzeczywistością i urojeniami dręczy siebie i młodą małżonkę. W tem przybywają tłumnie do schroniska, uczniowie mistrza, pokrzepić go na duchu i nacieszyć się jego widokiem. Po krótkiem wahaniu chory mistrz przyjmuje wielbicieli swoich, przebywa w ich gronie, słucha i nacesza, w końcu przeżywa chwile ... Otóż w trakcie tego robi profesor Rajmund straszne odkrycie. Oto poznaje, że najulubieńszy z jego uczniów, młody i piękny Lucyan, kocha się namiętnie a skrycie w jego żonie. To straszne odkrycie uderza gromem w profesora i serce jego napełnia iście Otellowej zazdrości. Oszalały z bólu wije się, jak robak, na myśl straszliwą, że żona jego może być kochaną i szczęśliwą, gdy on w chłodnej legnie mogile.

W niezmiernie długiej i męczącej scenie żąda nieszczęśliwy człowiek, ażeby żona zaprzysięgła mu wierność nawet po jego zgonie. A kiedy zrozpaczona kobieta nie chce mu się wije i błaga go, ażeby ją zabił, on przyznaje, że dawno by to uczynił, gdyby miał tylko siły po temu. Rodzi się też w nim podejrzenie, że żona go zdradza; gorzej jeszcze, że go już dawniej zdradzała! A te jego urojone podejrzenia względem kochającej go i zupełnie niewinnej kobiety są właśnie tak męczące i wstrętne, że kiedy rozpoczął się akt trzeci i inne wchodzące do sztuki osoby w rozmowie między sobą zakomunikowały publiczności o śmierci lekarza, cała sala zabrzmiała okrzykami radości, że wreszcie ten nowoczesny Otello zeszedł ze sceny i że już nie będzie dręczył żony i widzów.

Konkurs na posag w kwocie czterystu koron z fundacyi im. ś. p. Stefana hr. Zamoyskiego ogłasza Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń urzędników prywatnych. Kandydatki winny wnieść podania do dnia 30 grudnia b. r.

Mascagni napisał już nową operę pod tytułem „Festa del grano" (Dożynki). Libretto do tej opery ułożył mu znany poeta włoski Faustyn Salvatori. Ci, co słyszeli ustępy z tej opery opowiadają, że jest ona tak samo świeża, pełna wdzięku i polotu, jak słynna jego opera „Honor chłopski" („Cavaleria rusticana"), którą u nas wystawiają pod niedorzecznym tytułem „Rycerskość wieśniacza".

Księga zażaleń. Dzienniki paryskie opowiadają, co następuje: Pewna pani z arystokracyi francuskiej, prowadząca dom tak otwarty, że w lecie i w czasie polowań pałac jej jest jak gołębnik z którego goście wlatują i wylatują niby gołębie — wpadła na pomysł położenia w foyer księgi zażaleń. Ponieważ bywali tam sami tylko ludzie dobrze wychowani, spodziewać się należało, że kartki tej księgi pozostaną białe. Tymczasem rychło pojawiły się w niej rozmaite niedyskretne uwagi, w takim np. rodzaju:

„Pan de R dotąd jeszcze winien jest 25 ludwików; on już wie komu..."

„Panie baronie K! Żona pańska zdradza Cię, niestety nie ze mną..."

„Groszek zielony był wczoraj przypalony."

Gościnna gospodyni rychło musiała usunąć tę książkę zażaleń.

Temperatura dnia 22 listopada o godz. 7-ej rano wynosiła: w Galicyi zachodniej —3, we Lwowie —4, w Tarnopolu — 6, w Czerniowcach — 4, w Wiedniu —1, w Salcburgu — 2, w Gracu 0, w Pradze — 1, w Tryeście + 3, w Abbazyi + 3, w Raguzie + 10, w Budapeszcie 0, w Berlinie —1, w Hamburgu —2, w Monachium —1, w Zurychu —1, w Genewie + 3, w Lugano + 5, w Anglii + 6, w Paryżu — 2, w Biarritz + 4, w Nizzy + 9, w północnych Włoszech + 4, we Florencyi + 7, w Rzymie + 5, w Neapolu + 9, w Palermo + 13, w Madrycie + 5, w Sztokholmie —7, w Petersburgu —8, w Wilnie — 4, w Warszawie —3, w Moskwie — 10, w Kijowie — 5, w Odessie — 2, w Serajewie 0, w Belgradzie 0, w Bukareszcie — 1, w Sofii — 2, w Konstantynopolu + 5, w Atenach + 8 (Temperatura według Celsiusza).

Stan powietrza. T. o godz. 7 rano — 3 R. w poł. 0 R. Bar. 770. Spada. Pochmurno.

Na pensyi.

— Filipowiczówna, proszę mi wymienić jakiś przedmiot ze świata roślinnego?

— Naprzykład... wąsy... proszę pani.

Widowiska i koncerty.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś: „Rycerze północy". — We wtorek „Mignon," opera Thomasa. — We środę po raz 1-szy „Szkoła", sztuka współczesna w 4 aktach Z. Kaweckiego. — We czwartek „Traviata," opera J. Verdiego. — W piątek „Szkoła". — W sobotę popołudniu „Lilla Weneda;" wieczorem „Opowieści Hoffmana". — W niedzielę popołudniu „Ich czworo" Zapolskiej; wieczorem „Wesoła wdówka". — W poniedziałek „Szkoła".

Z Filharmonii. Program poniedziałkowego koncertu nadw. śpiewaczki Łucyi Weidt jest następujący 1. a) Schumann: „Der Himmel hat eine Thräne geweint", b) Schubert: „Im Haine", c) Schubert: „Klärchens Lied", d) Brahms: „Weh! so willst du mich"... 2. Massanet: Arya z op. „Cid". 3. a) Grieg: „Verborgene Liebe", b) Grieg: „Im Kahne", c) Wolf: „Frühling über's Jahr," d) Wolf: „Weylas Gesang". 4. Puccini: „Arya z op. „Tosca".

The Empire Vio (w sali Belle-Vue), jak co tygodnia, rozpoczęło znowu w sobotę nowy program, złożony z obrazów dotąd jeszcze nigdzie niepokazywanych, a dobranych z wytrawnem znawstwem gustów publiczności. Przeważa wytworny humor, wprost porywający w niektórych obrazach jak np. „Piękna mundantka", „Czy ją dopędzi?" „Zręczny policyant" i wielu innych. Z rodzajowych obrazów na wyróżnienie zasługuje przedewszystkiem serya oryginalnych zdjęć z lasku Bulońskiego, serya scen ze Smyrny, życie na wojennym okręcie francuskim i wyrąb drzewa w lasach norweskich. Doskonały jest teatr *varieté*, w którym wszystko spełniają tylko psy. Z kompozycyi wysuwa się na pierwszy plan do głębi wzruszający melodramat „Nienawiść niewolnika" i „Dramat na wybrzeżu". — Frekwencya publiczności jest nadspodziewanie wielka; szczególnie w niedziele na obydwóch przedstawieniach sala bywa przepełniona.

Colosseum Hermanów od 16-go listopada. *Spalenie indyjskiej wdowy*, poemat taneczny, wykona Saffira Pradyaik i Segon Neville.—„*Jou-jou,*" groteska w 1 akcie. — *The Hinode*, cesarscy nadworni artyści japońscy. — *Trupa Gorbunoff*, rosyjscy śpiewacy i tancerze. — *Sigrid i Alfred Naess*, mistrzowscy łyżwiarze. — *Vitograph*, sensacyjne nowe obrazy. — 10 nowych atrakcyj! — W niedziele i święta dwa przedstawienia: o godz. 4-tej i 8-mej.

Literatura i sztuka.

Miesięcznika fotograficznego, poświęconego sztuce fotograficznej i pokrewnym gałęziom, wyszedł zeszyt VII. Jest on ozdobiony czterema bardzo pięknemi reprodukcyami zdjęć fotograficznych, świadczącemi o coraz większym rozwoju tej sztuki. Jest więc przedewszystkiem prześlicznie zdjęty przez p. Dunikowskiego ze Lwowa „Wawel"; dalej „Przed burzą" p. Dolińskiego, również ze Lwowa, gdzie zarówno wzburzone morze, jak i groźne chmury wyszły doskonale; bardzo subtelna praca p. Kęszyckiej z Suchostawu „Nad stawem" i śliczny krajobraz z Jaremcza p. Krzysztofowicza z Brzeżan.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 23 listopada.

(Z). Wiadomość, że bank francuski zdecydował się do pewnej interwencyi celem zażegnania niebezpieczeństwa grożącego ze strony Ameryki i że ulokuje kilkadziesiąt milionów franków w złocie w amerykańskich dewizach i obligacyach, wywołała na targach europejskich wyborne wrażenie. W Londynie zwłaszcza ożywiły się obroty nadzwyczajnie, kursa podniosły się, a eskont prywatny potaniał.

Na tutejszej giełdzie tylko częściowo uwydatnił się ten pomyślny zwrot, jaki miał miejsce na rynkach zagranicznych, gdyż zbliżające się ultimo przejmuje wielu spekulantów obawą, a w wyższej jeszcze mierze pogarszające się konjuktury przemysłowe. Bądź co bądź jednak i tutaj znaczną część walorów zamknięto wyższymi kursami.

W dniu 28 listopada odbędzie się w Peszcie posiedzenie rady jeneralnej Banku austro-węgierskiego. Na tem posiedzeniu oznaczony zostanie termin nadzwyczajnego walnego zgromadzenia akcyonaryuszy, które zadecydować ma o tem, czy należy wnieść prośbę o przedłużenie przywileju bankowego, czy też nie. Przywilej bankowy kończy się bowiem z upływem roku 1910, wszelako w myśl statutu musi trzy lata przedtem zdecydować walne zgromadzenie, czy należy przedsięwziąć kroki o przedłużenie. Jak wiadomo sprawa ta jest jak najściślej związana z ugodą węgierską.

Z Brukseli donoszą, że Rosya w zamian za przystąpienie jej do konwencyi brukselskiej żąda przyznania jej prawa eksportowania corocznie 2½ milionów centnarów metrycznych cukru. Inne państwa nie chcą się zgodzić na tak wysoki kontyngent i gotowe są przyznać Rosyi tylko prawo wywiezienia corocznie takiej ilości cukru, która odpowiada piątej części jej wewnętrznej konsumcyi. W roku ubiegłym zaś wynosiła konsumcya cukru w Rosyi 8½ miliona centnarów.

Ostatnie wiadomości.

Z Paryża nam piszą:

W piątek zbrodniarze, mający jak się zdaje sprzymierzeńców wśród służby kolejowej, dokonali zamachu na pociąg, wiozący pieniądze kolejowe z całej linii tak zwanej orleańskiej. Do miasteczka Etampes, oddalonego o 60 klm, od Paryża, przychodzi o godzinie 3·46 w nocy pociąg z Tuluzy. W 40 minut potem przychodzi pociąg z Vendôme, oba się łączą w jeden pociąg, który o godzinie 4·30 odchodzi do Paryża, gdzie staje zaraz po piątej. Tak było i w piątek. Zaledwie jednak pociąg, wiozący mnóstwo przesyłek pieniężnych w wagonie pocztowym, idącym na czele pociągu i szkatułki z pieniędzmi ze wszystkich stacyj w ostatnim wagonie, wyjechał z Etampes, kiedy musiał zwolnić biegu, bo w oddaleniu pięciu kilometrów od Etampes robiono jakieś roboty kolejowe, poprawiano tor i zmieniano podkłady. O tem wszystkiem zbrodniarze wiedzieli dobrze. Więc kiedy tylko pociąg zaczął w biegu zwalniać, wyszli jacyś trzej panowie z I klasy, otworzyli drzwiczki od wagonu, po desce idącej wzdłuż pociągu doszli do pocztowego wozu, tam kluczami pocztowymi drzwi otworzyli i do wagonu wskoczyli. W wagonie jeden urzędnik i jeden woźny pocztowy pracowali nad klasyfikowaniem posyłek. Zbrodniarze wycelowali do nich rewolwery i krzyknąwszy: „Ani się ruszać, bo strzelamy!", poczęli worki z pieniędzmi wyrzucać przez otwarte drzwi wagonu.

Urzędnik pocztowy nie zważając na tę groźbę uderzył jednego z łotrów z całej siły kułakiem w nos; woźny zaś uderzył drugiego łotra butem w brzuch. Lotrzy się zachwiali i byliby może nie dokończyli zbrodni, gdyby trzeci stojący za nimi nie strzelił wówczas raz poraz do urzędnika i do woźnego z rewolweru i obu śmiertelnie nie zranił. Urzędnik padając, zdołał jeszcze schwycić sznurek bezpieczeństwa i pociągnąć mocno. Lokomotywa gwizdnęła i maszynista zatrzymał pociąg. Nim jednak zdołał go zatrzymać, zbrodniarze wyrzucili kilkanaście worków pieniężnych i sami wyskoczyli; pobiegli na koniec pociągu, tam otworzyli kluczami ostatni wagon, w którym się mieściły szkatułki z pieniędzmi kolejowemi.

W wagonie tym był woźny, przeznaczony do pilnowania tych szkatułek. Woźnego tego steroryzowali rewolwerami. Tymczasem to raptowne zatrzymanie pociągu pobudziło pasażerów i wielu z nich, mniemając, że stał się jakiś wypadek, poczęło wyskakiwać z pociągu. Powyskakiwali także i konduktorowie. Niebawem dowiedziano się, co jest powodem zatrzymania pociągu, a wkrótce ktoś spostrzegł, że złodzieje wyrzucają szkatułki z ostatniego wagonu.

Wszyscy więc, pasażerowie i konduktorowie, ruszyli ku temu wagonowi. Tu jednak spotkano się z wycelowanemi rewolwerami, co tak wszystkich przestraszyło, że zbrodniarze popodnosili wyrzucone szkatułki i zaczęli torem kolejowym uchodzić szybko w kierunku Etampes. Doszli do punktu, w którym kolej żelazna krzyżuje się z szosą, wsiedli do automobilu, który tam na nich czekał i odjechali. Uciekając zgubili rewolwer i dwie rękawiczki. Z tego, jakoteż z ich rysopisów, podanych przez urzędników pocztowych, może się uda wykryć tych zbrodniarzy.

Policya utrzymuje, że zbrodnię tę zawdzięcza Francya swojej przyjaciółce Rosyi.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Wiedeń. Na piątkowem posiedzeniu komisyi ugodowej w toku dyskusyi nad artykułem 30 w sprawie obrotu bydłem zabrał głos radzca ministeryalny Binder celem omówienia poruszonych w dyskusyi spraw galicyjskich. W toku rozpraw — rzekł p. Binder — podniesiono, jakoby Galicya była gorzej traktowana, aniżeli Węgry. Austryackiemu zarządowi weterynaryjnemu przez myśl nie przechodzi utrudniać w jakikolwiek sposób obrót wewnętrzny. Zarządowi weterynaryjnemu byłoby najprzyjemniej, gdyby zarazy wcale nie istniały. Jeżeli dla Galicyi wydano wyjątkowe postanowienia, to uzasadnione to było geograficznem położeniem Galicyi. Należy zważyć na ogromną rozległość granicy galicyjskiej, zwłaszcza od strony Rosyi. Galicya w pierwszym rzędzie narażona jest na zawleczenie zarazy. Przytem należy zauważyć, że właśnie Galicya jest jednym z najcenniejszych krajów pod względem wywozu bydła. Ażeby utrzymać zdolność wywozową, musiałaby być Galicya przez szereg lat specyalnie traktowana pod względem weterynaryjno-policyjnym.

Mówca omawia stosunki panujące aż po rok 1898 i podnosi, że w zachodnich krajach broniono się przeciw temu, aby z Galicyi zawlekano zarazę: ze względu na to wydano swego czasu zarządzenia, które cały obrót bydłem w Galicyi naraziły na szkody. Prawdą jest, że czyniono rozmaite eksperymenty, które kosztowały wiele pieniędzy. Ostatecznie przystąpiono do podziału kraju na trzy strefy i zaprowadzono kolczykowanie świń. W ten sposób było możliwem wytworzyć pomyślniejsze stosunki, przyczem uznać jednakże należy energiczne współdziałanie ludności. Dzisiaj obrót w Galicyi dokonywa się bez godnych wzmianki kosztów ze strony administracyi weterynaryjnej, a po zniesieniu zarządzeń, które z radością byłyby powitane przez ludność, nastąpić by mógł powrót do dawnych warunków. Jednakowoż obecnie podział na strefy w Galicyi został usunięty i swobodny jest obrót nierogacizny hodowlanej, natomiast na razie trzeba było jeszcze utrzymać specyalne zarządzenia dla świń użytkowych. Gdyby nie było należytej ochrony przed importem rosyjskim, głównie przed przemycaniem, to wszelkie inne zarządzenia nic by nie znaczyły; w krótkim czasie stan zarazy byłby ten sam, jak przedtem.

Zresztą przymus kolczykowania nie jest specyalnem rozporządzeniem, istniejącem w Galicyi. Przywóz świń z Bośnii i Dalmacyi również dokonywany jest pod warunkiem kolczykowania; także w Austryi Dolnej każda świnia szczepiona przeciw róży (Rotlauf) jest znaczona, aby stwierdzić identyczność. Znaczenie nierogacizny wogóle zaprowadzono w niektórych powiatach Dolnej Austryi z pomyślnym wynikiem.

Mówca przyznaje, że przeprowadzenie tego zarządzenia połączone jest z ciężarami dla ludności. Jest najpoważniejszym obowiązkiem rządu przyznać wszelkie możliwe udogodnienia, gdyż rząd nie ma w tem wcale interesu, aby utrzymywać w mocy jakieś urządzenia, z których wynikają dla ludności ciężary, urządzenia, pozbawione pod względem weterynaryjnej policyi znaczenia. Zupełne atoli zniesienie markowania świń nie będzie rzeczą możliwą; jakkolwiek dziś w Galicyi co do zarazy bydlęcej zapanował porządek, to przecież obrót bydłem odbywa się pod warunkami, które zniewalają do ostrożności. Skoro wszelkie niebezpieczeństwo zupełnie będzie usunięte, zarządzenia te ani dzień jeden dłużej nie pozostaną w mocy.

Wiedeń. Wczoraj obchodzono tu uroczystość 50-tej rocznicy śmierci marszałka Radeckiego. Uroczystość rozpoczęła się odprawieniem *requiem* w obecności Cesarza, następcy tronu, arcyksiążąt, namiestnika, burmistrza, ministrów, oraz naczelników władz. Na placu przed pomnikiem Radeckiego, przybranym wieńcami, ustawiły się kompanie wojsk pieszych, stojących w Wiedniu, oraz deputacye stowarzyszeń weteranów. Do weteranów, którzy służyli pod Radeckim, przemówił następca tronu arcyksiążę Franciszek Ferdynand, poczem obecne oddziały wojsk i weteranów przedefilowały przed nim. Publiczność zgotowała arcyksięciu owacyę.

Następnie odbyło się w ratuszu przyjęcie, w którem wzięły udział deputacye wszystkich stowarzyszeń weteranów, oraz ministrowie wśród nich nich także p. Abrahamowicz, naczelnicy władz i t. d. Przemawiali burmistrz Lueger, minister rolnictwa Ebenhoch, oraz prezes związku weteranów.

Berno morawskie. Wczoraj popołudniu zebrało się na placu Wielkim około 4.000 ludzi, aby demonstrować przeciw drożyźnie środków żywności. Przemawiał poseł do Rady państwa i redaktor tutejszego socyalno-radykalnego pisemka Niessner, oraz pewien czeski socyalista. Po zgromadzeniu odbył się pochód, niesiono tablice z napisami i śpiewano pieśni, oraz wznoszono okrzyki. Przed domem robotniczym ponownie wygłoszono mowy. Pochód rozszedł się następnie w spokoju. Wypadku nie było.

Baku. 20 rabusiów wdarło się na pokład parowca „Cesarzewicz", należącego do azyatyckiego Towarzystwa handlowego, a który wiózł pocztę do Krasnowódzka. (Na wschodniem wybrzeżu morza Kaspijskiego). Niedaleko Baku rabusie zatrzymali okręt i zabrawszy pocztę, znikli koło wsi Zich.

(Depesze popołudniowe)

Wiedeń. Dziś o godz. 10 przedpołudniem w zamku Schönbruńskim Cesarz po zaprzysiężeniu nowomianowanego ministra dla Galicyi p. Dawida Abrahamowicza, przyjął go na osobnej audyencyi.

Warszawa. Aresztowano Esterę Witenbergową, gdyż w jej mieszkaniu znaleziono fabrykę fałszywych paszportów i wydawnictw P. P. S.

W Markach aresztowano Zofię Seremanównę, gdyż w jej mieszkaniu znaleziono skład wydawnictw rewolucyjnych.

Petersburg. Do komisyi budżetowej wybrano z posłów polskich pp. Grabskiego, Żukowskiego i Montwiłła. Otrzymali oni więcej głosów niż kadeci.

Chicago. Banki tutejsze zamówiły w Londynie złota za 4 miliony dolarów z bezzwłoczną dostawą.

Nowy York. Rockefeller ofiarował 2,300,000 dolarów na cele badań lekarskich.

Towarzystwo kolei Pacific przyjęło część wydalonych przed kilku tygodniami robotników napowrót do służby.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 25 listopada. B. Osuchowski z Wiśniowczyka. O. Parnas z Mokrzan. J. Chorośnicki z Chorośnicy. M. Soffer, F. Rostellini i T. Dotzler z Wiednia. Radzca Żarski z Skwarzawy nowej. M. Sroczyński z Borysławia. A. Rudeński z Delatyna. S. Żuk-Skarszewski z Żukowa. J. Plesnar z Krakowa. E. Siegfried z Lyonu. Dr. S. Żędzianowski z Wadowic. K. Łukasiewicz z Buczacza. P. Wartanowicz z Cygan. M. Asłan z Rojatyna.

HOTEL FRANCUSKI.
Restauracya. Pokój do śniadań. Wszelkie wina i delikatesy.
Lwów — Plac Maryacki

Przyjechali dnia 30 listopada. L. Bosak ze Stanisławowa. J. Dostal z Grazu. M. Kurkowski ze Strosinka. J. Nagelberg z Koniuchowa. J. Sleczkowski z Przemyśla. J. Orzelski z Nowego Sącza. K. Gürlsler z Borysławia. M. Dulski z Łańcuta. J. Steingraber z Krakowa. M. Spener z Tarnopola. S. Borkowski z Horoszowy. Z. Tyralski z Krakowa. M. Benabki ze Stryja. K. Latinek z Buczacza. T. Jabłoński z Krosna. S. Glazer z Ustrzyk.

Budapeszt 25 listopada. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 50 kilogramów). Pszenica na kwiecień 13·09—13·10 (na październik 11·43—11·44); żyto na na kwiecień 12·20—12·21; owies na kwiecień 8·70—8·71; kukurudza na maj 7·62—7·63. Rzepak na sierpień 17·15—17·25. — Oferty napszenicę: mierne. — Chęć kupna: słaba. — Usposobienie: lepsze. — Pogoda: zimno.

Giełda południowa (godzina 12 minut 50) Wiedeń 25 listopada.

Marki 117.82, renta majowa 95·80, węgierska renta koronowa 92·15, akcye: austr. zakł. kredyt. 625·00, węg. zakł. kred. 739·50, anglobanku 289·00 unionbanku 525·00, bankvereinu 514·50, länderbanku 403·50, kolei państw. 657·25, łombardy 143·50, akcye kolei Elbethal 000.00, fabryki broni 000.00, tytoniowe 392·00, alpiny 585·50, Rima Muranyi 509·50, prag. T. żel. 2380·00, losy tureckie 181·50 ruble 252.50. Usposobienie: silne.

Lwów 25 listopada (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 400 Koron —.— do —.—. Kolej dworsko-Czern.-Jassy po 400 kor. 516 — do 552 —. Banku hipotecznego po 400 kor. 565·00 do 575·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —.— do —.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 400 koron 400.— do 500·—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 103·—110.—

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·60 do 110·30. 4 i pół proc. los. w 50 lat 99·00 do 99·70. 4 proc. los. w 60 lat 94·00 do 94·70. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 99·80 do 100·50. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 94·00 do 94·70. Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 96·00 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 96·50 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 93·20 do 93·90.

Obligi za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 97·00—97·70. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 101·00 do 101·70. Kom. Banku kraj. 4½% (3-ej emisyi) 99·30 do 100·00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4-procentowe po 200 koron 92·00 do 93·30. Pożyczki kraj. z r. 1873 proc. —.— do —.— 4 proc. z 1893 r. 95·00—95.70, miasta Lwowa 4 proc. 94.00 do 92·70, 4% bez podatku (konwers.) 94·00 94.70,

Monety. Dukat cesarski 11·38 do 11·43. Napoleon. cor 19·06 do 19·15. 100 ruble rosyjskie papierowe 251·00 do 254·00. 100 marek niemieckich 117·50 do 117.80.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1907 r. według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***, 5.50*, 7.25, **8.55**, 9.45, 5.25, 9.50*.
Z Rzeszowa: 1.10.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7.20, 12.00, **2.16**, 6.40, 10.30*.
Z Podwołoczysk na Podzamcze: 7.01, 11.40, **2.00**, 5.15, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12,20***, 8.05, **2.25**, 3.55, 9.00*.
Z Kołomyi: 10.05.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.10, 12.40.
Z Jaworowa: 8.23, 5.00.
Z Sambora: 8·00, 10.85, 1.55, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10.50*.
Z Tuchli: 3.51.
Z Bełzca: 4.50.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, 3.45*, **8.25**, 8.40, **2.45**, 6.15*, **7.05***, 7.20, 11.00*.
Do Rzeszowa: 4.45.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 10.45, **2.17**, 7.00*, 11.15*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: 6.35, 11.08, **2.32**, 7.24*, 11.35*.
Do Czerniowiec: **2.51**, 6.10, 9.20, **1.55**, 10.40*
Do Stryja: 11.30*.
Do Rawy i Sokala: 6.12, 7.10*.
Do Jaworowa: 6.58, 6.30*.
Do Sambora: 6.00, 9.05, 4.30, 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 2.25.
Do Przemyśla Chyrowa: 4.05.
Do Ławocznego: 7.30, 3.20, 6.25*.
Do Bełzca: 11.05.
Do Stanisławowa, Czortkowa, Husiatyna: 5.50.

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

47)

Śledztwo starej panny.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Kobieta w szarej sukni.

(Ciąg dalszy).

— Niewiadomość pani jest cudowną, miss Butteworth. Jeżeli pani raczysz zapytać młodej dziewczyny, ubranej w szarą suknię, czego wczoraj rano dotykała w kantorze Van Burnama, będziesz pani miała odpowiedź na pierwsze pytanie. Co do drugiego, jeszcze z większą łatwością mogę panią zadowolić. Pan Howard Van Burnam nie mógł schować pierścionków w kantorze na Duan-street, dla tej głównej przyczyny, że od śmierci żony noga jego tam nie postała. Ta okoliczność jest pani tak dobrze wiadoma, jak i nam. Pani się rumieni, miss Butterwoth. Z jakiego powodu? Jako agent-amator wywiązała się pani bardzo dobrze i popełniła pani mniej błędów, niż się można było spodziewać.

Tego było zawiele! Czy on względem mnie nie przybierał roli protektora? I to w skutek pewnych wypadków, w których nie miałam najmniejszego udziału. Patrzyłam na niego zdumiona. Czy żartował ze mnie, czy zupełnie się mylił co do ostatnich moich poszukiwań? Trzeba mi było rozwiązać to zagadnienie i to natychmiast, a ponieważ w stosunkach z panem Gryce najlepiej wychodziłam nie okazując szczerości, postanowiłam i tym razem tak postępować. Rozchmurzyłam czoło, a spoglądając wesoło na mały garnuszek węgierski, który trzymał w ręku i do którego zwracał swoje słowa od chwili, gdy się unosił nad moją inteligencyą, powiedziałam:

— Wcale nie życzę sobie uchodzić przed światem za osobę, która odkryła winę Franklina Van Burnam, ale chcę, aby policya oddała sprawiedliwość moim usiłowaniom, chociażby jedynie z tego powodu, że pan traktowałeś je z pogardą, panie Gryce. Jeżeli więc pan mówisz seryo (przy tych słowach uśmiechnął się do garnuszka dobrotliwie), przyjmuję chętnie te wymówki, o ile są szczere. Przekonaną jestem, że chcesz się pan dowiedzieć o moich odkryciach; inaczej, mając tyle zajęcia, nie tracilbyś czasu nadarmo.

— Wspaniale! — wydał zwięzły tylko okrzyk, zwrócony do garnuszka, który trzymał w ręku.

— Jeżeli ten dowód uznania odnosi się do mnie — mówiłam dalej — to jestem panu bardzo wdzięczna. Ale nigdy nie dałam się ująć pochlebstwu do tego stopnia, abym miała mówić, kiedy ostrożność każe mi milczeć. Mam może mocną głowę, ale głupiec domyśliłby się, po co pan dziś przyszedłeś. Na komplimenty poczekam, jak na nie zasłużę. Na cierpliwości nic nie stracę.

— Zaczynam przypuszczać, miss Butterworth, że wiadomości, których mi pani udzielić nie chcesz, mają wielką doniosłość. Jeżeli tak jest, nie chcę być jedynym powiernikiem. Wszak to słychać zatrzymujący się powóz? Oczekuję inspektora Z... Jeżeli to on przybywa, to pani dobrze zrobiła, wstrzymując się z daniem mi wyjaśnień.

Rzeczywiście jakiś powóz się zatrzymał, z którego wysiadł inspektor Z... Dumną byłam ze znaczenia, jakie mi przypisywano i zwróciłaam oczy na portret mego ojca, żałując, że oryginał tego portretu nie jest obecny i nie może widzieć sprawdzenia swojej przepowiedni.

Pomimo jednak tych myśli, zrobiłam jeszcze ostatni wysiłek, aby dowiedzieć się od pana Gryce czegokolwiek przed przybyciem inspektora.

— Dlaczego wspominasz pan czasami o mojej służącej, a czasem o kobiecie w szarej sukni? — zapytałam. — Sądzisz pan, że Lena? .

— Tst! — zawołał — będziemy zaraz mieli sposobność obszernie tę sprawę roztrząsać.

— Doprawdy? — pomyślałam. — Nie będziemy rozstrząsać, dopóki nie dowiem się stanowczo o co chodzi.

Nie wydałam się jednak z mojem postanowieniem. Przeciwnie. Przyjęłam inspektora bardzo grzecznie i robiłam honory domu z taką uprzejmością, że gdyby żył mój ojciec i był obecny przy naszem spotkaniu, z pewnościąby mnie pochwalił.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Tow. akc. Braci Fiałkowskich. Z drukarni E. Winiarza.